ZBIGNIEW JANAS

ur. 1953; Warszawa

Miejsce i czas wydarzeń	Polska, Czechosłowacja, PRL
Słowa kluczowe	Warszawa ; Wrocław ; Praga (stolica Czech) ; Karkonosze ; Borówkowa (szczyt w Górach Złotych) ; Grześ (szczyt w Tatrach Zachodnich) ; PRL ; Karta 77 ; KOR ; Komitet Obrony Robotników ; Solidarność (1980-1989) ; Solidarność Polsko-Czechosłowacka ; Solidarność Polsko-Czesko-Słowacka ; konspiracja ; opozycja ; życie polityczne ; wybory 1989 ; opozcja w PRL ; strajki ; stan wojenny (1981-1983) ; opozycja w Czechosłowacji ; przerzuty ; łącznik ; zielona granica ; UB ; Urząd Bezpieczeństwa ; SB ; Służba Bezpieczeństwa ; Bujak, Zbigniew (1954-) ; Frasyniuk, Władysław (1954-) ; Havel, Vaclav (1936-2011) ; Jasiński, Mirosław ; Kuroń, Jacek (1934-2004) ; Lityński, Jan (1946-) ; Macierewicz, Antoni (1948-) ; Michnik, Adam (1946-) ; Piotrowski, Mieczysław ; Pospichal, Petr (1960-) ; Romaszewski, Zbigniew (1940-2014) ; Wałęsa, Lech (1943-)

1. Zwykły chłopak z robotniczej rodziny

Historia [powstania] Solidarności Polsko-Czechosłowackiej nie jest do końca jasna, różne są tutaj opowieści. Tak naprawdę przecież pierwszym, można powiedzieć, zalążkiem takiej Solidarności, choć to nie było tak nazywane, były pierwsze spotkania przedstawicieli „Karty 77” i KOR-u na „Ścieżce Przyjaźni”. Czyli tak naprawdę nielegalne spotkania w Karkonoszach. Wtedy ja jeszcze byłem maszynistą kolejowym. Nie miałem, de facto, dostępu do niezależnej prasy. Coś tam być może słyszałem w Radiu Wolna Europa. Ale to nie jest tak, że byłem w tym od samego początku, tak, jak niektórzy teraz gadają, że od dzieciństwa już byli antykomunistami. Ja byłem zwykłym chłopakiem wychowywanym w rodzinie robotniczej. I to takiej prawdziwej. Ojciec był ślusarzem po zasadniczej. Mama po czterech klasach szkoły podstawowej była suwnicową. Tak, jak Anna Walentynowicz. Więc ja, po prostu, byłem wychowywany w rodzinie robotniczej. W bardzo trudnych warunkach, bo przecież przez dwadzieścia pięć lat mieszkałem w domu, gdzie – w Warszawie, co ciekawe – ubikacja była na dworze i po wodę do studni się chodziło. I oczywiście nie było żadnego ogrzewania centralnego tyko w piecu się paliło i [grzało] taką „kozą”. Więc, można powiedzieć, daleko jeszcze byłem od tych środowisk, które tworzyły na

przykład KOR. Bo to były środowiska, no jednak, inteligenckie, z domów inteligenckich. Często, rzeczywiście, z domów na pewnym etapie jakoś tam komunizujących. Choć nie wyłącznie, przecież. I tym bardziej ja podziwiam ich krytycyzm. Bo mogli być zadowoleni. Ich rodzice byli w establishmencie, wychowywali się w dużo lepszych warunkach, niż ja. W większości. Natomiast byli w stanie to wszystko zaryzykować, z tego zrezygnować, żeby się zaangażować w walkę z ówczesną władzą komunistyczną. Ja nie. Ale o dziwo, pierwszą, tak naprawdę, książkę – książeczkę wydaną przez KOR, dostałem od mojego ojca, ślusarza, który pracował w ZWAR-ze. Jak dziś pamiętam, to byli „Robotnicy" Bolka Sulika. Późniejszego, zresztą, szefa Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, dziennikarza BBC. rzeczywiście, to była pierwsza książka, którą ja przeczytałem, pochłonąłem, można powiedzieć, za jednym przysiadem. Bo gdzieś tam, oczywiście, miałem w sobie pewien krytycyzm. Ja to obserwowałem i nie podobało mi się wiele rzeczy. Ja się wychowałem na pograniczu Międzylesia i Anina. W Międzylesiu, a na pograniczu z Aninem, gdzie były wille z basenami tych notabli. Przecież tam, między innymi, Jaroszewicz mieszkał. Ja to wiedziałem, bo ja tam się poruszałem, jeździłem na rowerze. Widziałem to, a tu, słyszałem o sprawiedliwości społecznej, że tu klasa robotnicza ma najlepiej pod słońcem. Ja chodziłem [na dwór] do kibla mróz, nie mróz, a tam widziałem coś zupełnie innego. Cały czas, sobie mówiłem, że coś mi tu nie gra. Coś mi się tu nie zgadza. Mój ojciec, był w związkach zawodowych. Potem, zresztą w Solidarności też działał. Ale on ładne rzeczy robił. Ja to widziałem. On się zajmował ludźmi rzeczywiście, tymi, którzy mieli problemy, na przykład problemy z alkoholem. Pamiętam takich, którzy do nas przychodzili. On z nimi rozmawiał, tłumaczył im. to była taka fajna działalność. Ojciec nie opowiadał na przykład o tym, że on jest antykomunistyczny. Nie wypowiadał takich słów. Ale ja wiedziałem – bo to ojciec mi opowiedział – o dziadku, który był w AK, pod Krakowem. O tym, że znaleźli z młodszym bratem bunkier, w której była radiostacja. Jedna z radiostacji okręgu krakowskiego AK. U nas, w stodole, tam, w tym rodzinnym naszym Tenczynku pod Krzeszowicami. Ojciec dostał postrzał w kolano i całe życie lekko utykał. Zresztą, miał dużo szczęścia. Niemcy do nich strzelali, jego trafili, ale tak, że kula przeszła przez kolano. Zostały znaki z tej i z tej [strony]. Zawsze to pokazywał. Ale nie roztrzaskało mu kolana, więc uciekł, po prostu. Tak, że te rzeczy nam o wojnie opowiadał. Ale w tym nie było takiej zajadłości, o tym się tak nie mówiło. Ojciec słuchał „Wolnej Europy", a my razem z nim. Chociaż na początku, mnie to denerwowało, bo przeszkadzał nam w czytaniu, w oglądaniu telewizji. A potem sam zacząłem też słuchać. Bo jak zacząłem być krytyczny, to chciałem usłyszeć coś więcej.

2. Siła bezsilnych

Z mojego punktu widzenia, to o tych spotkaniach ja się dowiedziałem dopiero, jak zacząłem współpracować z KOR-em, kiedy już dostawałem książki i, oczywiście,

kiedy dostaliśmy ze Zbyszkiem „Krytykę”, w której były eseje ludzi z „Karty 77”. Przede wszystkim Waszka Havla [Vaclav Havel] „Siła bezsilnych” i „Równoległa Polis”, nie pamiętam, kto to napisał, ale też jeden z tych dysydentów z „Karty77”. To były rzeczy, które nami wstrząsnęły. Tak naprawdę, to one nas ze Zbyszkiem umocniły w tym, że warto się angażować. Nawet, jeśli to mają być proste rzeczy. Dlatego, że „Siła bezsilnych” mówiła tak, że na początku niczego nie widzisz. Są pojedyncze osoby, które się angażują. Czasami się angażują w rzeczy, które właściwie nie są wielkimi rzeczami. Bo nie mają na to siły, nie mają na to ludzi. Natomiast, im więcej ludzi takie rzeczy robi, tym większa jest suma tych rzeczy i w którymś momencie pokazuje siłę tych bezsilnych. I to było przesłanie: nie wolno dać się przekonać, że nie warto niczego robić. W „Równoległej Polis” mówiło się o tym, że są niejako dwa nurty obok siebie: to jest właśnie władza, a to jest właśnie społeczeństwo. Że nawet jeśli to społeczeństwo jest nieliczne, ale niezależne, to zawsze zmienia również tę drugą część. Jeśli rośnie w siłę, jeśli jest konsekwentne. I to, można powiedzieć, nam pokazało, że to, co my robimy – to przenoszenie gazetek, „Robotnika”, to noszenie do ludzi tego „Robotnika”, kiedy nawet ludzie na początku, w ogóle boją się wziąć tę gazetkę do ręki, [ma sens]. Jeśli człowiek się nie boi, to inni też zaczynają. Nie bać się. Bo jak wszyscy dookoła się boją, to się wszyscy boją. Ja chodziłem otwarcie na zebrania partyjne, na zebrania związkowe i od razu wszystkim „Robotnika” wręczałem. To był 1978 rok i po prostu tam nikomu do głowy coś takiego nie przychodziło. Mówiłem, że mogą się zapisać, że książki mogę przynieść do przeczytania. Oczywiście, że donosili do bezpieki. Zaraz spora część leciała Ale byli tacy, co nie [donosili]. A potem sami zaczęli tworzyć komórki i prosili: „To daj mi pięć sztuk, bo ja mam już komu to dać”. I tak, to rosło. To było dokładnie to, co Waszek Havel napisał w tym eseju. A te eseje zostały wymyślone na jednym z tych spotkań, gdzie był właśnie i Adam Michnik, i Janek Lityński, i – co ciekawe, Antoni Macierewicz. Był Waszek Havel i jeszcze kilka osób z „Karty 77”. Dla mnie przeczytanie tych esejów było bardzo ważne.

3. Początki współpracy Solidarności Polsko-Czechosłowackiej

Dziwne, że – może to z pośpiechu, z tego, że był tak strasznie dużo do zrobienia – mi nie przyszło [do głowy] w czasie Solidarności zabrać się za to, żeby organizować jakieś spotkania, czy grupy i próbować jeździć do Czechosłowacji. Chociaż wtedy to wszystko było „zamurowane”, to było bardzo trudne. I wiadomo było, że ludzi z Solidarności nie przepuszczą, [szczególnie, że] ja byłem jednym ze znanych działaczy. Ale, o czym nie wiedziałem, młodzież, młodzi ludzie z Wrocławia – Mirek Jasiński, chyba Jarek Broda był w tej pierwszej grupie i Olek Gleichgewicht, już się do tego wzięli, ponieważ [z Wrocławia] było blisko do Pragi, do Czechosłowacji. To było ważne. Więc oni się już tym zajmowali, a że nie byli działaczami takimi, jak ja, czy Zbyszek Bujak, znanymi, to nie byli znani bezpiece. Dzisiaj się mówi, że pierwszy raz nazwa Solidarność Polsko-Czeska – jeszcze wtedy nie była nawet

czechosłowacka – padła na spotkaniu Olka Gleichgewichta z Hanką Šabatową. To było u nich w domu, u Petra Ula i Hanki. Hanka teraz jest rzecznikiem praw obywatelskich, wtedy była dysydentką. I ona i Petr byli jednymi z najbardziej znanych dysydentów i sygnatariuszy „Karty 77". Wtedy już się mówiło o współpracy, padła ta nazwa, ale nie powstała jeszcze organizacja, chociaż były takie plany. Zanim to się przekształciło w normalną działalność, wybuchł stan wojenny. I, oczywiście wszystko siadło. Przynajmniej przez te początkowe lata. Ale ta myśl kiełkowała cały czas. I wtedy powstała tamta grupa Mirka Jasińskiego, która szukała kontaktów. Już zaczęła robić jakieś pierwsze przemyty, jakieś spotkania. Ale to szło bardzo słabo. O dziwo, do dzisiaj tak naprawdę tego nie zrozumiałem, nie wiem, dlaczego ta grupa w ogóle nie była wspierana przez struktury Solidarności. Oczywiście była łączność między strukturami i dzięki temu ja się dowiedziałem o Mirku, a Mirek się dowiedział o mnie. Ale to było dopiero w 1985 roku, nie wcześniej. Wcześniej ja byłem w podziemiu, nie miałem takich możliwości działania, a w Polsce było wystarczająco dużo kłopotów ze strukturami podziemnymi, żeby się jeszcze wtedy zajmować również zewnętrznymi. Potem doszedł Mietek Piotrowski „Ducin", który był przewodnikiem karkonoskim, więc oczywiście znał bardzo dobrze przejścia. Zresztą, miał, że tak powiem, legitymację do tego, żeby tam chodzić. I od tego momentu, jak „Ducin'doszedł, no to oczywiście tamci młodzi chłopcy już mieli te spotkania, te przerzuty i tak dalej. To też była już spora grupa ludzi. Ale w dalszym ciągu mieli olbrzymie problemy finansowe, ponieważ to byli najczęściej studenci jeszcze i oni właściwie za swoje głodowe pieniądze kupowali, czy zdobywali rzeczy do przemytu. I jakoś ja do dzisiaj nie mogę dojść, dlaczego? Przecież Wrocław miał takie pieniądze. Jeszcze na dodatek po stanie wojennym. Właściwie już po Okrągły Stole się okazało, że oni mieli jeszcze kupę pieniędzy. Dlaczego tego nikt nie załapał, to ja do dzisiaj nie rozumiem. Że trzeba takie rzeczy wspierać i trzeba im pomagać i tak dalej. W 1985 roku ja już byłem w domu. Cały czas działałem, tyko już nie jako ukrywający się, ale jako człowiek z zewnątrz. Bez przerwy mnie zamykali gdzieś tam do aresztu i tak dalej. A jednocześnie pracowałem, bo przecież musiałem pracować na rodzinę, w Spółdzielni „Unicom", którą zasilili wyłącznie „kryminaliści". Znaczy, tam nie było ludzi z zewnątrz. Potem się okazało zresztą, że nawet bezpieka tam nigdy nie wsadziła żadnego agenta. Nie byli w stanie tam nikogo wstawić. To byli sami ludzie z podziemia, który powychodzili z więzień. Bo „Unicom" [zostało] wymyślone w więzieniu w Hrubieszowie. Zresztą, przez moich kolegów z „Ursusa", przywódców strajku z 13-go grudnia. Oni wiedzieli, że nigdzie ich nie przyjmą do pracy z tak zwanym „wilczym biletem", więc założyli spółdzielnię. Mecenas Niziński był tam naszym [prawnikiem] i bardzo pilnował tej strony formalnej, dzięki temu właściwie nic nie mogli nam zrobić. A w którymś momencie doszli też do wniosku, że lepiej dać im spokój. Dlatego, że jak będą zarabiali pieniądze, to nie będą mieli czasu na knucie. W pewnym zakresie, się to sprawdziło. Ja coraz to znikałem, bo akurat siedziałem. Właściwie byłem jedyny, który tak znikał. Ale zawsze mogłem liczyć na pewną grupę ludzi, którzy też coś

zrobili, już angażowali się. Tutaj pensja nie leciała. Tu trzeba było na nią zarobić, trzeba było pracować. Więc ja byłem taki jedyny, który i to, i to robił jednocześnie.

4. Wysłannik Petra Pospichala

Nie przychodziło mi jeszcze wtedy do głowy oczywiście – do dzisiaj mam do siebie o to pretensje – żeby szukać tego kontaktu. Zresztą, nie miałem na to żadnego pomysłu. Warszawa, jest dosyć daleko od granicy, prawda? Ale jak zwykle w moim życiu – miałem dużo szczęścia. Bo w zasadzie moje życie do tej pory, to zawsze opierało się na tym, że miałem jakiegoś takiego farta dużego. We wszystkim, co się w moim życiu działo. I w którymś momencie, jak dzisiaj pamiętam, lato, bardzo ciepło, bardzo gorąco, wakacje. Bardzo dokładnie to pamiętam, dlatego, że to wstrząsające wrażenie na mnie zrobiło. Jest dzwonek do drzwi. Wyglądam. Jakiś młody chłopak, nie znam człowieka. Jest sam, więc raczej przypuszczałem, że nie bezpieka. Zresztą, o tej porze nie przychodzili. Oni jak przychodzili, to o szóstej rano. Z wybiciem szóstej i zawsze z mundurowym. Otworzyłem drzwi. A on od razu, z korytarza mówi: „Ja bardzo przepraszam. Wiem, że to dziwne. Nazywam się tak i tak i jestem tutaj od Petra Pospichala, który jest sygnatariuszem „Karty 77. On chciałby nawiązać kontakt z Polską, ale nikogo nie zna. Natomiast udało nam się ten adres zdobyć. I wiem, że to jest dziwne w tych czasach, ale nie mieliśmy innego wyjścia. Jestem w Polsce z grupą młodzieży i, po prostu, zerwałem się i przyjechałem, żeby o tym powiedzieć". Moje myślenie, było krótkie – a cóż mi więcej grozi, niż normalnie? I tak pójdę siedzieć. Tylko pytanie zawsze było, za co? I, na ile? Jeśli to jest jakaś prowokacja, to najwyżej mnie wsadzą za współpracę z Czechosłowacją. Też dobrze. I w ogóle nie miałem chwili wahnięcia. Złapałem go, mówię: „Chodź". On mówił całkiem nieźle po polsku. Słyszałem, że to jest Czech, bo to było słychać, natomiast on mówił po polsku. Myśmy, oczywiście, pisali na kartce. Mówić nie było jak, bo wiedziałem, że są podsłuchy. Tak, że tylko na kartce. Potem wyszliśmy i [omawialiśmy] szczegóły. Umówiłem się z nim – on tutaj miał być dwa tygodnie – że w ciągu tych dwóch tygodni przygotuję wszystko. Powiedział, że Petr chciałby się spotkać i tak dalej. Ja już wiedziałem, od razu miałem w wyobraźni, z kim ja muszę natychmiast nawiązać kontakt. I jak, w jaki to sposób zrobić, żeby się móc spotkać. Ponieważ umówiliśmy się za dwa tygodnie, ja przez te dwa tygodnie właściwie tutaj wewnętrznie nic nie robiłem, tyko przygotowywałem to nasze pierwsze spotkanie. Do tego oczywiście, na przyszłość szlaki przerzutowe. To robiliśmy bardzo profesjonalnie. I kody do porozumiewania się telefonicznego. Kody przygotowywał Mariusz Matczewski, wówczas robiący doktorat z fizyki. Trzeba było mieć takie kody, żeby można było przez telefon powiedzieć, którego dnia, o której godzinie, gdzie, ale w taki sposób, żeby oni nie mogli tego rozszyfrować. Trzeba było mieć możliwość tego typu porozumiewania się ze sobą. Przecież wszyscy byliśmy na podsłuchach. I potem jeszcze [mieliśmy] ugadane, jak odnowimy kontakt gdyby się zerwała łączność, ktoś poszedł siedzieć i tak dalej. To wszystko trzeba było mieć wypracowane,

opracowane, podane. Plus do tego, ja od razu wiedziałem, jak trzeba przerzucać. To wszystko przeze mnie było wymyślone. Ja to od razu miałem to w wyobraźni. Byłem konspiratorem, to od razu wiedziałem, co i jak trzeba zrobić. Nie miałem jeszcze kontaktu z Wrocławiem, więc sam to wymyślałem. Między innymi, zakupiłem dwa zestawy plecaków ze stelażem, cztery [sztuki], czyli po dwa dla każdego. Jedne były czerwone, drugie były niebieskie. I jak ja drugi raz się spotkałem z Petra łącznikiem, to po prostu dostał ode mnie dwa egzemplarze tych plecaków. A drugie dwa ja miałem. Wiadomo było, że jak zejdą się grupy gdzieś na szlakach, to tam są kontrolowane, obserwowane przez lornetki. Chodziło o to, że jak gdzieś siądą, to żeby niespostrzeżenie tylko wymienić [plecaki], żeby tamci nie mogli załapać, czy były zamienione, czy nie. Więc zawsze było też wiadomo, jakie plecaki mają być na które z tych spotkań. I wtedy była tyko zamianka. Czym innym były spotkania, w inny sposób to organizowaliśmy, a czym innym były przerzuty. Nie można było łączyć tych rzeczy. Więc on od razu zabrał plecaki do przerzutu. I byliśmy już przygotowani.

5. Pomoc rodziny Walentów

W międzyczasie pojechałem do Hani Walenty. To jest taka rodzina, której ojciec, profesor Sokołowski, był twórcą Pienińskiego Parku Narodowego. Oni byli właścicielami – co ciekawe przez ten komunizm też zachowali – takiej willi witkiewiczowskiej, Ornak, w Zakopanem. Piękna willa. Zabytkowa, w tej chwili już ma pewnie ze sto pięćdziesiąt lat. Modrzewiowa, z tych wielkich bali. Bardzo piękna willa. Ja tam się jedne wakacje ukrywałem i jednocześnie spędzałem wakacje z moim synem. Wtedy jeszcze żył ojciec Hani, który był kurierem, oficerem armii, zrzutkiem spadochronowym. Trochę się nie mógł nadziwić, że my w konspiracji tak żyjemy. Bośmy chodzili, normalnie, z synem na wycieczki. Zresztą nie sami bo z Hanią, oczywiście, jej synem i córką. Cała ta rodzina była zaangażowana. Bardziej lub mniej. Dlatego, że Hani brat, Tadeusz, konspirował cały czas i był jednym z twórców „KOS-a", takiego podziemnego pisma i tam cały czas działał. Tak, że ja oczywiście od razu do Hani pojechałem. Ściągnąłem ich. Mówię, że mają mi opracować dokładnie [trasy] w Tatrach z bardzo dokładnymi wyliczeniami, ile trzeba czasu iść, jakie dystanse. Gdzie mogą być niebezpieczeństwa? Gdzie mogą być patrole? Mieli na to dziesięć dni. Ja musiałem dostać bardzo dokładne dane, dokładnie opracowane i w taki sposób opisane, żeby po przekazaniu ich do Pragi, czy ogólnie, do Czechosłowacji, oni dokładnie wiedzieli, gdzie mają wyjść. Dokładnie. I, żeby to samo mogli sobie opracować od drugiej strony. Żeby nie było nieporozumień. I rzeczywiście, opracowali to wszystko. Pojechali specjalnie. Chodzili, mierzyli kroki, czasy. [Sprawdzali] wszystko – jakie miejsca, jak trzeba wyjść, jak trzeba dokładnie przejść. Niezadługo potem pojechałem na pierwsze spotkanie z Petrem. Byłem z Januszem Onyszkiewiczem, bo zawsze albo parami się chodziło, albo się chodziło z „obstawą", to znaczy, że jedni szli tu, a drudzy oddzielnie. Albo szli lasem, jak były takie możliwości, żeby w razie czego wiedzieć, że ktoś został aresztowany, zatrzymany.

Bo przecież tam mogli człowieka zastrzelić, zabić i nikt by tego nie wiedział. Więc najczęściej właśnie w „obstawie” chodziły dzieci Hani, Tomek i Agnieszka. Tomek chodził też na przerzuty. Hania, zresztą też chodziła na przerzuty. Córka, Agnieszka chodziła. Cała rodzina Walentów. I miałem już wypracowane miejsca na to pierwsze spotkanie i szlak. Na tym szlaku nigdy nie nastąpiła wpadka. Myśmy tam się regularnie spotykali. Nawet poszliśmy na spotkanie, kiedy Wrocław miał wpadkę. Poszliśmy na potkanie właśnie tu. Z Mirkiem. Bo do Mirka ja miałem zaufanie. To był szlak przez [Dolinę] Chochołowską. Do schroniska w Chochołowskiej i w górę na Grzesia. I tam po drodze, właśnie na samym Grzesiu, jak się schodziło na [Przełęcz] Bobrowiecką były miejsca wyznaczone do zamiany plecaków z przerzutem. Natomiast na spotkania nie chodziliśmy do góry na Grzesia, tylko od razu na takim zakręcie, schodziliśmy w las i idąc lasem, przechodziliśmy na Bobrowiecką.

6. Spotkania i przerzuty

Pierwsze spotkanie mieliśmy na samej Bobrowieckiej. Jak dzisiaj pamiętam, piękna była pogoda. Ciepło, słonecznie. Leżeliśmy w trawie takiej wysokiej, że prawie nas nie było widać. Pachniało przepięknie. Bo to taka piękna dolina – jednej strony wysoko, z drugiej. A w środku tam normalnie nie było szlaku, więc myśmy, tak naprawdę, już schodzili nielegalnie. Ale zasada była też taka, że myśmy musieli zawsze, Polacy, przejść na stronę czechosłowacką. I to wszyscy moi kuriery kurierzy wiedzieli, że nie wolno im dopuścić do tego, żeby na przykład spotkanie, czy wymiana plecaków była po stronie polskiej, tylko musiała być po stronie czechosłowackiej. Dlaczego? Dlatego, że w Polsce można było dostać wyrok dwa lata więzienia za to, że się przeszło nielegalnie przez granicę. A Czesi mogli dostać cztery, czy sześć lat. I różnica była bardzo duża w tym, ile się siedzi. To było ważne. Ważne było, żeby przyjaciół nie narażać. To jest wyraz prawdziwej solidarności – będzie siedział krócej lub dłużej, więc dla przyjaciela, który by dłużej siedział ryzykowało się więcej ze swojej strony. Bo to i tak było mniejsze ryzyko, niż naszych przyjaciół. Więc te wszystkie spotkania, wszystko się odbywało po czechosłowackiej stronie. Myśmy przechodzili przez szlak. Lasem przechodziliśmy na drugą stronę sprawdzając, czy nikogo nie ma, oczywiście. I w lesie się później spotykaliśmy, bo było bezpieczniej. Pierwsze spotkanie. Byliśmy na tej Bobrowieckiej, nie były dogadane jeszcze wszystkie szczegóły, jaki komunikat i tak dalej, ale było od razu powiedziane, że będziemy robić takie spotkania. Ja się wtedy też od Petra dowiedziałem o tym, że jest kontakt na Wrocław. I przekazali też przez członków „Karty” kontakt do Warszawy. Stąd potem moje spotkanie z Mirkiem. Mirek przyjechał do mnie, ale to już było trochę później. Na razie ja przygotowałem pierwszy przerzut, który poszedł też tamtędy, ale nie bezpośrednio tutaj, gdzie myśmy się spotkali. Chodziło o to, żeby nie łączyć spotkań i przerzutów, bo było większe prawdopodobieństwo wpadki. A już od tej pory zacząłem gromadzić różne rzeczy, które się u nas ukazywały i które Czesi chcieli [dostać]. Miałem magazyn i zacząłem

gromadzić to. Ale przede wszystkim dostałem od razu wsparcie od władz podziemnych Solidarności. Jak tyko pojechałem na spotkanie, powiedziałem: „Mam kontakt i muszę mieć pieniądze na to, żeby ich wesprzeć. Ja nie będę tu chodził i żebrał, żeby mi ktoś dał, jak trzeba, to będę kupował. Tyko musze mieć na to pieniądze, bo kurierzy muszą jeździć". Wiadomo, na to trzeba było mieć pieniądze. Przecież to była cała konspiracja, to nie było takie proste, żeby się spotkać. Dostałem na to pieniądze z podziemnych struktur i dzięki temu, mogłem na dużą skalę gromadzić te rzeczy i przemycać. A później, co ciekawe, również drukować dla Czechów i Słowaków. Drukować dla nich tutaj, bo to myśmy mieli olbrzymie możliwości. W porównaniu z nimi mieliśmy olbrzymie możliwości drukarskie i każde inne. To wszystko przenosiliśmy przez granice i, na szczęście, większość tego się zachowała. Nawet ukazał się „Kalendarz Polsko-Czechosłowacki" z nazwami miesięcy, dni po czesku i po polsku. Bardzo ładny kalendarz u nas się ukazał i był dystrybuowany, to znaczy połowa nakładu, była przeniesiona przez granice na drugą stronę. I te słynne znaczki, które wręczyłem Obamie, to też było tam zaprojektowane. Projekt przeniesiony przez granice, tu wydrukowane. Przepiękne. Sześć znaczków normalnie perforowanych, jak prawdziwe znaczki pod spodem były podgumowane. Sześciokolorowe. To było na dziesiątą rocznice „Karty 77", czyli ukazało się w 1977 roku. I prawie cały nakład, cztery tysiące, miał być przerzucony. W Polsce zostało chyba pięćset sztuk, które ja miałem i potem to było też rozprowadzane w Polsce strukturami podziemnymi. A część, którą ja zachowałem, potem pięknie oprawiałem i dawałem do muzeów [i ośrodków] takich, jak [Muzeum] Historii Polski, Europejskie Centrum Solidarności, Fundacja „Karta". Każdy dostawał te znaczki. Trochę poszło zagranicę też w formie prezentu, między innymi do Condoleezzy Rice, Sekretarz stanu za [prezydentury Baracka Obamy]. Ostatnie, które miałem, dostał prezydent Obama. Ale, niestety, około tysiąca pięciuset sztuk wpadło. To była jedyna wpadka jaką mieliśmy. [Przenosiła je] Hania Walenta z synem Tomkiem, wtedy jeszcze studentem fizyki, dzisiaj wspaniałym lekarzem onkologiem dziecięcym. Wpadła spora część. Tym bardziej jest to dzisiaj cenne, bo nie ma tego tak dużo. Ale to są troszeczkę późniejsze czasy. Na razie to pierwsze spotkanie. Trudno sobie wyobrazić to, jak człowiek zniewolonym w tym systemie, tak, jak my wtedy w komunistycznym, nagle odkrywa, jaką radość niesie to, że, jak ja – wchodzi jakiś robotnik na zebranie partyjne i mówi, co myśli. W ogóle się nie ograniczam, tyko mówię: „Panowie, no łżecie, jak psy". Chociaż nie. Mówią mi, żeby tak nie mówić, bo psy obrażam. Więc, po prostu: „Kłamiecie. Dlaczego? Wytłumaczcie mi, dlaczego kłamiecie? I to na zebraniu partyjnym". I widzę, jak ci sekretarze się pod stół chowają. Co ciekawe, potem Zbyszek Wilk – dyrektor „Ursusa", potem nasz człowiek, ale wtedy partyjny najwyższego szczebla – powiedział mi, że były głosy tamtych sekretarzy, że tak naprawdę to my mamy schowane dyplomy uczelni i tutaj zostaliśmy nasłani, żeby robić wrogą robotę przebrani za robotników. Takie mieli wyobrażenie. Szukali, gdzie to myśmy te uczelnie pokończyli, bo to niemożliwe, żeby robotnik przyszedł i tak im

bobu popędził. Ale to inna historia. Mam drugie takie przeżycie. Jest czarna noc w Polsce, to znaczy: komuniści są mocni, my słabniemy, ewidentnie widać. Ludzie się wycofują. To są mity, że to były miliony. Nie, nic takiego nie było. Z każdym rokiem było trudniej. Z każdym rokiem było słabiej. Często nie można było znaleźć mieszkania dla ukrywających się i tak dalej. Zresztą mieliśmy wpadki z tego powodu i zagrożenie ciągle. Bo za długo żeśmy mieszkali [w jednym miejscu]. Bo wracaliśmy z powrotem. Bo nie było, po prostu, komu nas przechowywać. Przecież jak ja mieszkałem w Pruszkowie i w Piasecznie i inni moi koledzy tak samo, to przecież to było półtora, dwa miliony mieszkańców, a ukrywających się nas najwięcej było czterech. I nie było dla nas mieszkań. A teraz, sami antykomuniści, sami bohaterowie. Więc myśmy to wszystko wtedy odczuwali. Bo byliśmy tymi, którzy tym cały czas kierowali w różny sposób. To samo ja odczuwałem, jeśli chodzi o możliwość mojego działania w Solidarności Polsko-Czechosłowackiej. I teraz, ja nagle w tej takiej [nocy], w tym smogu takim spotykam się z przyjaciółmi z „Karty 77" i opowiadamy sobie, jaka jest sytuacja. Oczywiście bardzo długo żeśmy leżeli w tej trawie. I jak kto głupi alkoholu nie przynieśliśmy, tyko tak [siedzieliśmy] po prostu „o suchym pysku". Potem już takich błędów, nie popełnialiśmy. Ale teraz leżymy, rozmawiamy i oczywiście wiemy, że nasze narzekanie, że słabniemy jest prawdziwe. Ale w porównaniu z nimi jesteśmy tak mocni. To było jak gdyby złapanie pewnego dystansu do tego, że słabniemy. Tak, ale nasze możliwości i tak były w ogóle nieporównywalne. Jak oni mają ciężko, ci nasi przyjaciele, tak samo przecież z tym systemem walczący. Po pierwsze, każde aresztowania, to dużo dłuższe wyroki. Jest ich bardzo niewielu. Właściwie we wrogim otoczeniu. U nas, to była często taka bardziej obojętność, ja uważam. Chociaż obojętność jest tak samo niebezpieczna, jak wrogość. Obojętność jest bardzo groźna dla ruchów demokratycznych. Dlaczego ja do dzisiaj mam takie optymistyczne podejście? Między innymi dlatego, że ja, po prostu, znałem te proporcje. Ja wiedziałem. Ale też, z drugiej strony – mimo, że tutaj słabło – nagle ja złapałem „wiatru w plecy". Nagle ja mam cel. Wiem, że im jest trudniej, więc musze, po prostu, na głowie stanąć, żeby im pomóc. Zrobić, co się tylko da, żeby oni weszli na ten innym poziom. A jak nawet nie są w stanie, to żeby przynajmniej, komunistów postraszyli. Od razu, oczywiście, powstają pewne koncepcje, co możemy robić. Ja im wtedy przekazałem, że bylebyśmy utrzymali szlaki, to zorganizuję odpowiednią ilość ludzi. I tak samo, jeśli znajdziemy partnerów. Petr mi powiedział, że mają kontakt z Wrocławiem, mówię: „Dawaj ich. Razem będziemy to robić". Zaczęliśmy ze sobą współpracować. Do tego ja ich zacząłem wspomagać finansowo, dlatego, że miałem pieniądze na działalność, a oni, nie. Ci chłopcy z Wrocławia byli zadłużeni. Oni się prywatnie zadłużyli, żeby prowadzić tę działalność. I zacząłem, oczywiście, również dla nich gromadzić materiały, bo wiedziałem, że oni mają szlaki przerzutowe, więc można było po prostu ich wspomagać, żeby część oni przenosili, a część my. Bo my w którymś momencie zaczęliśmy się tutaj „zatykać".

7. Pierwsza książka offsetowa w Czechosłowacji

Generalnie było tak, że oni mają mieć propozycje, co my mamy załatwić, a my to będziemy, po prostu, robić. Stąd, na przykład, ten pomysł, żeby wydrukować na offsecie książkę, na której im zależy. Że my to wydrukujemy na offsecie w całości po czesku i przeniesiemy przez granice. I to była pierwsza książka offsetowa, która się ukazała w Czechosłowacji. I dokładnie osiągnęliśmy ten rezultat, że bezpieka po prostu oszalała. Pamiętam, że Petr nam opowiadał, jak żeśmy się spotkali w Karkonoszach, że jak go zwinęli to mówili [o tym]. Bo oni sami to wydawali książkę na przebitce, [pisaną] na maszynie w dziesięciu egzemplarzach. Dziesięć egzemplarzy. To było po prostu na wagę złota, taka książka. Dlatego, że to była przebitka ledwo widoczna, pięknie oprawiona w twarde okładki. Tak to było wydawane, prawie zawodowo, dlatego to trzeba było chronić, bo było naprawdę na wagę złota. Zawsze po jednej sztuce mi zostawiali, jak przemycaliśmy. I miałem jedną z większych kolekcji, udało ją się nawet skatalogować. Katalogowała to wszystko i przechowywała moja koleżanka ze szkoły, z technikum kolejowego, która była po bibliotekarstwie. A potem cały zbiór, który zgromadziłem przekazałem do Biblioteki Narodowej w Warszawie. Ale tę książkę myśmy im po prostu wydrukowali na offsecie. I cały nakład, dwa tysiące sztuk, przenieśliśmy przez granicę. Można sobie wyobrazić, co znaczy przenieść dwa tysiące sztuk normalnej książki w plecakach. I oczywiście, trzeba pamiętać o tym, jakie były ograniczenia. Że, na przykład, ludzie pracowali i czasami nie mogli pójść. I mnie się zdarzyło raz, że poszedłem w góry z plecakiem napakowanym tą właśnie książką. Poszedłem sam, bez obstawy, bez nikogo. Z przerzutem. Miałem zawsze dosyć dobrą kondycję, ale nie jestem bysior. Do dzisiaj nie pamiętam, jak ja doszedłem. Ja po prostu byłem już nieprzytomny ze zmęczenia. Nie pamiętam, jak ja tam w ogóle zalazłem z tym wielkim plecakiem naładowanym książkami. To był taki duży plecak ze stelażem do pełna, napakowany książkami. A ja z nim wszedłem na szczyt Grzesia. Pamiętam, że jak doszedłem, Czesi już byli, a ja tylko tak stałem, nie byłem w stanie w ogóle nic powiedzieć ze zmęczenia. Czarno mi się robiło przed [oczami]. Był tam brat Petra, chłop taki z metr dziewięćdziesiąt parę [wzrostu], ze sto kilo wagi. I pamiętam, że on tak złapał ten plecak. Ściągnął [mi z ramion], zarzucił sobie i mało się nie wywrócił, tyle to ważyło. Aż jęknął. On myślał, że jak to przyniósł taki mikrus, to też sobie zarzuci. Jakimś cudem zdołał [ustać na nogach] Jak by wywalił się, to po prostu [poleciałby] razem z tym plecakiem. To był taki ciężar. Do dzisiaj żona ma do mnie o to pretensje, że mogli mnie tam gdzieś zaciukać, mogłem gdzieś zginąć, tak mogło się to skończyć. A ja już miałem dzieci dwoje i byłem odpowiedzialny, ale wiedziałem, że po prostu nie ma wyjścia. Jest umówiony dzień przerzutu, godzina. Musze dojść. Nie ma komu ze mną iść, nie ma kto za mnie pójść, to muszę sam. Po prostu. Ja jestem szefem. Ale też nie mogło być tak, ze robotę rzucę. Na szczęście, pracowałem z moimi przyjaciółmi – to też ważne – z podziemia, z dawnych czasów jeszcze. Z Arkiem Czerwińskim i ze

Zbyszkiem Bujakiem, z którymi właśnie byliśmy pierwszą taką grupą, która działała. Arek zresztą poszedł siedzieć właśnie za strajk. Trzy lata dostał. I to właśnie on razem z przyjaciółmi wymyślił tę spółdzielnię. Więc oni mnie kryli. Poza tym, w tym czasie oni za mnie pracowali. Ja pracowałem najwięcej zimą, a w lato cały czas konspirowałem. Przecież każde spotkanie to były godziny, dni całe przygotowań. W zimie nie chodziliśmy, ale kiedy już zeszły śniegi, no to się zaczynało chodzić. Czasami było tak, że raz na dwa tygodnie szedł przerzut, jak na przykład przerzucaliśmy duże nakłady. Tak często te przerzuty szły, że ja już się bałem wpadki. Po prostu, że coś zaczną podejrzewać. Razem z Hanią i z Tomkiem Walentą postanowiliśmy opracować nowy szlak przerzutowy. Hania była nauczycielką fizyki w liceum w Warszawie. Na stałe mieszkali tutaj w Warszawie, w Radości. Tadzio Klimczak, czyli brat Hani, z Aldoną też mieszkali w Warszawie. To jest zresztą taka rodzina przemysłowców przedwojennych, więc byli dość dobrze sytuowani, jak na tamte czasy. A przede wszystkim, dysponowali tą willą, w której nasi kurierzy mieli miejsce. Bo jak przyjeżdżali, to przecież musieli się gdzieś zatrzymać zanim poszli w góry. Tak, że to było nasze, można powiedzieć, miejsce. Postanowiłem jednak mieć alternatywę, bo mieliśmy tyle planów i tyle rzeczy, które chcieliśmy zrobić dla nich. Więc trzeba było bez przerwy chodzić. Dlatego trzeba było w razie czego mieć taką alternatywę, a nie opracowywać dopiero, jak się wpadnie. Przewidujący byłem. Tomek bardzo dokładnie opracował szlak, schodził to wszystko. Czasami dwa razy, trzy razy przeszedł [trasę], wszystko spisywał. Słupki, gdzie, w jakim miejscu, przy jakim słupku wymiana może nastąpić. Minuty – ile potrzeba przy szybszym marszu. I tak dalej. Bardzo dobrze to było zrobione. I niestety, szlak „się spalił" jako pierwszy. Na pierwszy przerzut wszystko było opracowane. Dla Czechów było mniej wygodne, bo było daleko. Dla nas, mniej więcej to samo. Może gorzej pociągiem można było dojechać, ale potem już miałem samochód i kolegów, którzy mi dawali samochody na te przerzuty, jak na przykład Rysio Pusz. Ale to już troszeczkę później nawiązałem z nimi kontakt. Tu też cała rodzina była zaangażowana, jak Krzysztof, który był sekretarzem Lecha Wałęsy, potem ministrem w jego w kancelarii. Najmłodszy, Darek, może najmniej, ale Ryszard zawsze był bardzo zaangażowany w te opozycyjne działania. W tych Beskidach nie mieliśmy żadnego miejsca, ale na szczęście było tak, że się rano przyjeżdżało i od razu szło w góry. Co też nie było łatwe, bo przecież [jechało] się całą noc, czasami nie siedząc, czy nie śpiąc. Różnie to było, ale trzeba było [to robić], no i wszyscy młodzi byliśmy.

8. Wiedzieliśmy, że będzie wpadka

Zorganizowaliśmy właśnie pierwszy przerzut. Plecak był zapakowany tymi znaczkami. Wtedy poszła Hania z Tomkiem. Oni szli z przerzutem, a ja [ich obstawiałem] z Jurkiem Kaniewskim, to taki mój kolega, jeden z szefów komisji w Solidarności i przywódca strajku z 13-go grudnia. Dostał najwyższy wyrok. Trzy i pół roku więzienia za przywództwo w tym strajku. Poszedłem z Jurkiem, żeby ich

obstawiać. Tutaj było odwrotnie – nie ja szedłem z przerzutem, ja szedłem jako obserwator i obstawa. Szliśmy od drugiej strony i na tym szlaku minęliśmy się z Hanią i z Tomkiem. Oczywiście, tylko żeśmy się porozumieli tak półsłówkami, bo widzieliśmy, że jest „lornetowanie". Ale to wszystko było przewidziane i wiadomo też było, że są miejsca, których oni nie widzą. [Hania z Tomkiem] schodzili, wiedzieli już że jesteśmy, poszliśmy w drugą stronę. Weszliśmy na taką górę, a tam WOP-owcy stali i mieli radia. Myśmy tam sobie siedli, rozłożyli się, niby taki piknik i czekamy. I już przez radio słyszymy: „Słuchajcie, słuchajcie! Przerzut. Przerzut do Czechosłowacji". O, kurna. Już wiemy, że jest po prostu niedobrze. Że ich złapali. –„Jeden uciekł! Czesi też uciekli! Ale mamy jedną!". To już wiedzieliśmy, że Hania siedzi. Że to ona jest złapana. Ale też to znaczy, że Tomek uciekł. Co robić? Tam były korespondencje dla Czechów. Zawiadomić? Potem się okazało, że ponieważ tam było bardzo daleko, Czesi się spóźnili. Oni też mieli to dokładnie opracowane. Wszystko, było dobrze wyliczone i wiadomo było, ile czasu, przy jakim słupku mają się spotkać, o której godzinie dokładnie. Ale się spóźnili, bo chyba pociąg spóźnił, więc Hania z Tomkiem doszli, ale nie mogli za długo czekać, bo cały czas było kontrolowane to przejście. Więc zaczęli iść i spotkali ich w innym miejscu. W tym miejscu, wymienili plecaki, tylko nie wiedzieli, że obok w lesie leży patrol WOP-owski. Oni leżeli dokładnie naprzeciwko, nie byli widoczni. Wyskoczyli do nich z kałachami. Była taka sytuacja, że była Czeszka i Czech. Czeszka miała polski plecak, ten ciężki, na sobie. I jeden [wopista] rzucił się na Czechów, a drugi na naszych. I rzecz polegała na tym, że Czeszka, która miała ten plecak, widać w nerwach i w adrenalinie – nie była, zresztą, podobno ułomkiem ta dziewczyna – tak szarpnęła, że urwała sprzączkę. I ten [wopista] został z tym ciężkim plecakiem i nie wiedział, kogo łapać. Trzymał ten plecak, a Czesi dali w długą i uciekli. Nie zatrzymali ich. Właśnie to samo ten drugi, próbował zrobić z Tomkiem. Ale Tomek chłopak wysoki, wysportowany, młody oczywiście nie pozwolił urwać sobie wyrwać tego plecaka, a miał, czeski już plecak, tyko dał w długą w las. Nie mogli go złapać. Tamci uciekli. Już ich nie gonili. No, ale mieli Hankę i plecak. Efekt był taki, że Hanke zatrzymali oczywiście, do aresztu ją zawieźli, plecak zatrzymali. Po latach się dowiedziałem, że była fiszka w moich papierach. A moich papierów właśnie nie ma, jest jedna teczuszka, resztę spalono. Ale jest fiszka, że ten plecak z całą zawartością został spalony. Ja trochę żałuję. Bo jak byśmy to odzyskali, to można by w jakichś aukcjach [licytować], czy przekazać na cele [charytatywne], na przykład dla tych działaczy Solidarności, którym jest ciężko. Niestety, spalili sukinsyny. Jakby się chcieli zemścić na plecaku. A Hanię oskarżyli o przekroczenie o pół metra granicy. Jest cała dokumentacja z tego procesu. Piotr Andrzejewski, teraz senator z PIS, Piotrek Andrzejewski, był naszym adwokatem, jednym z tych adwokatów Solidarnościowych, on ją bronił. I była strasznie śmieszna dyskusja z prokuratorem – czy przekroczyła o pół metra? A może tylko o dwadzieścia centymetrów? A może, tak w ogóle, to nie przekroczyła, tylko dziesięć centymetrów była po polskiej stronie? Gdzie jest ta linia dokładnie? To było bardziej śmiesznie, jak

strasznie. Hania zresztą sama to mówiła. Ukarali ją tylko grzywną, na którą oczywiście poszły „konspiracyjne” pieniądze. Była nauczycielką, to przecież grosze zarabiała, więc grzywna została zapłacona i tyko tyle. Tomek uciekł im i szedł całą noc. Później dzień i noc w ogóle nie wychodził z tego lasu. Tyko, niestety, on gdzieś zakopał chyba ten plecak. Potem już szedł bez plecaka. Dobrze zrobił, bo gdyby go zatrzymali, to powiedziałby: „Zabłądziłem” i tyle. Oczywiście, natychmiast przyjechała bezpieka do ich willi tam w Radości. Zrobiła tam „kipisz”, ale Tomka nie złapali. Nie wiedzieli, kto [z nią] był, że to był syn Hani. Ten plecak „czeski” też zaginął, nie udało się go Tomkowi odnaleźć, więc nie było dodatkowego oskarżenia. Natomiast, niestety [szlak] „spalił się” nam od razu po pierwszym tym przerzucie. Na szczęście ten Zakopane – Dolina Chochołowska – Grześ – Bobrowiecka nigdy nie wpadł, więc do samego końca, do 1989 roku, do zmian cały czas przerzut szedł.

9. Pokłosie Solidarności Polsko-Czechosłowackiej

W ogóle były różne poważne plany. Mieliśmy na przykład wyprodukować dla Czechów nadajniki radiowe i telewizyjne, żeby wchodzili na fale i nadawali tak, jak u nas Radio Solidarność. Telewizory mieliśmy już przerzucone. Były wszystkie częstotliwości. Rożne tam takie techniczne rzeczy, to wszystko było przygotowywane. No, ale buchnęły zmiany, więc już wiadomo było, że zupełnie na czym innym trzeba będzie się koncentrować. Były plany przerzucania offsetu, czy powielaczy. Z przerzutem nie byłoby problemu, bo by się to rozebrało i byśmy to przenieśli. Kogoś byśmy znaleźli tam na miejscu albo byśmy kogoś wysłali, żeby to złożył i nauczył [obsługi] i tak dalej. Problem był inny zupełnie. Oni jeszcze nie mieli takich zdolności organizacyjnych, żeby zdobyć odpowiednią ilość papieru, [a potem] rozprowadzić druk. Dlatego, że tam po prostu bardzo niewielu ludzi było zaangażowanych w tę działalność opozycji. Ta ilość ludzi też tam rosła, ale reżim był o wiele bardziej brutalny – zanim ja się spotkałem pierwszy raz z Waszkiem [Vaclav Havel], to on już siedział cztery i pół roku w więzieniu. U nas tyle się nawet nie dostawało. A gdybyśmy nawet im przenieśli troszkę i farby i tych ryz papieru – a ile można ryz przenieść przez granicę – to do tego trzeba było mieć miejsce, do tego trzeba było mieć zdolności organizacyjne, bo to od razu inne rzeczy napędza. Trzeba mieć strukturę do rozprowadzenia i tak dalej. Więc to były główne problemy i chociaż plany były szerokie, to z tego punktu widzenia lepiej było w Polsce drukować i po prostu przenosić przez granicę. Wtedy i oni by mieli łatwiejsze [zadanie] – tyko rozprowadzić. Nie musieliby [uruchamiać] całej tej machiny. Plany były i to już nawet bardzo zaawansowane, ale jak to zwykle, życie spowodowało, że trzeba było inaczej [działać]. Bo jeśli chodzi o tę polsko-czechosłowacką współpracę, to nie możemy zamknąć się na roku 1989. Najpierw u nas Okrągły Stół i wybory czerwcowe, potem u nich „Aksamitna Rewolucja” w listopadzie, tak naprawdę, można powiedzieć, pokłosie tej Solidarności Polsko-Czechosłowackiej, bo zaangażowanie tych ludzi trwało jeszcze przez parę ładnych lat. Również z tego powodu, że i tu byli we władzach

ludzie, którzy mieli do czynienia z Solidarnością i my już mieliśmy inne możliwości. Po tamtej stronie było dokładnie to samo. Rządzili ludzie z „Karty 77”. Waszek, był prezydentem. Nasi przyjaciele ze spotkań byli w różnych miejscach. Przecież Irka Dientsbier był wicepremierem, ministrem spraw zagranicznych. I w pałacu, byli nasi przyjaciele: Petr Pospichal i Saša Vondra. Potem bardzo szybko został biskupem nasz kolega z konspiracji Waszek Malik. Też chodził do nas, spotkaliśmy się na granicy. Na tych nielegalnych spotkaniach było pełne spektrum. Zawsze, zresztą z Czechami i Słowakami to było i starszno, i wesoło. Jesteśmy w czasach konspiracji, czyli przed 1989 rokiem. I mamy niejako drugą gałąź, czyli Wrocław i okolice. To, co się nadawało na duże spotkania, to były Karkonosze, z tego powodu, że na te spotkania chodzili ludzie o różnej kondycji. I po tamtej stronie i po naszej. Karkonosze były dostępne również dla naszych ludzi, którzy nie mieli kondycji, jak na przykład Jacek Kuroń, który przecież palił, dymił, jak z komina i oczywiście w żadnym wypadku by nie wszedł na Grzesia, nie ma mowy. Nawet tam ledwo, ledwo lazł. Część z nas była młoda wtedy i zaprawiona, bo chodząca w góry, choćby właśnie na przerzuty. Ale część ludzi, po prostu, nie byłaby w stanie. Po tamtej stronie też, przychodził na przykład Ladoslav Lis, bardzo starszy człowiek. Ale każdy chciał być, kto tylko mógł, na takich spotkaniach. Więc ustaliliśmy z Wrocławiem, że te spotkania duże – raz do roku, nie więcej, bo to chodziło też o bezpieczeństwo – będą w Karkonoszach. Te nasze spotkania były na Bobrowieckiej Przełęczy. W tej chwili tam jest Szlak Solidarności Polsko-Czechosłowackiej, są tablice w tych miejscach, gdzieśmy się spotykali. Są zdjęcia. To jest świetnie udokumentowane. Cały ten region jest po prostu Szlakiem Solidarności Polsko-Czechosłowackiej. I Dolny Śląsk bardzo o to dba. Teraz nawet jakoś przedłużają go. W Lądku Zdroju na przykład, w mieście są tablice – myśmy zresztą je odsłaniali, które pokazują ten Szlak Solidarności Polsko-Czechosłowackiej, te miejsca naszych spotkań. Jeśli chodzi o Tatry, to tam nie ma tam Szlaku Solidarności Polsko-Czechosłowackiej. Natomiast na wejściu do schroniska w Dolinie Chochołowskiej jest piękna, duża tablica Solidarności Polsko-Czechosłowackiej opisująca, że właśnie tędy szły przerzuty, spotkania Solidarności i „Karty 77”. Są znaki Solidarności i „Karty 77”, nazwiska wszystkich kurierów, którzy tam chodzili. Tak, że jest to ładnie upamiętnione, żeby ludzie na to zwracali uwagę. A ponieważ tam jest opis, to można iść w te miejsca, gdzie były przerzuty. Gdzie były te spotkania właśnie. I na Bobrowieckiej można zejść. Ale, jak zwykle, nas zawsze spotykają różne dziwne rzeczy. Nawet po zmianach. Dlatego, że na dwudziestolecie, czy na dwudziestopięciolecie powstania Solidarności Polsko-Czechosłowackiej były [organizowane] różne imprezy. I we Wrocławiu. I w Warszawie. I właśnie tam, w Zakopanem wtedy została stworzona ta tablica i były kręcone zdjęcia, już takie zawodowe. Ponieważ te spotkania były bardzo zakonspirowane, więc nie było robionych zdjęć, ani filmów. Ale miał powstać film, taki dokument fabularyzowany, jakby historia Solidarności Polsko-Czechosłowackiej. [Opisujący] różne historie, też dramatyczne, które się działy przy tej okazji. Bo to była ta wpadka u nas, czy choćby

to moje wtedy, wyjście. To były pościgi z WOP-em. Potem przerzucaliśmy Petra Devátego przez granice i ukrywaliśmy go po tej stronie, bo był zagrożony wyrokiem. Tego Devátego przechowywaliśmy aż do zmian w Czechosłowacji i potem też go przerzuciliśmy z powrotem. Ekipa była zawodowa, z tymi [profesjonalnymi] kamerami, te spotkania miały być jakoś uwiecznione. I między innymi miało być [spotkanie] na Bobrowieckiej, dokładnie tak, jak wtedy, nie zainscenizowane. Czesi, którzy w większości tam chodzili mieli przyjść od strony słowackiej. Bo w tej chwili, to już była słowacka część, nie czechosłowacka, tyko słowacka. Oni mieli wejść na Bobrowiecką od słowackiej, a my, cała grupa Solidarności Polsko-Czechosłowackiej miała wejść z tej strony. I mieli to nakręcić jak się spotykamy po latach. Cała ta grupa, która po tamtej i po tej stronie chodziła tam miała się spotkać. Zdjęcia powstały oczywiście, ale okazało się, że zrobiliśmy to w czasie, kiedy jeszcze szlak na Bobrowiecką po stronie słowackiej był zamknięty. I, mimo tego, że pisaliśmy o zgodę i, że nasi przyjaciele przecież byli też w rządzie słowackim, premier i minister spraw zagranicznych to przecież nasi koledzy ze spotkań, to Słowacy nie wyrazili zgody. Czyli zamknęli szlak i nie pozwolili, żeby oni tamtędy weszli. Nie było mowy. Nie i już. Oczywiście, oni by to zrobili nielegalnie, tylko problem polegał na tym, że ich szef, czyli Petr Pospichal, mój przyjaciel po tamtej stronie, był wtedy przewodniczącym Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji. I on mówi tak: „Słuchaj, gdybym ja nie był wysokim urzędnikiem. Wtedy, jako zwykły obywatel mogłem łamać prawo. Teraz to jest już inne państwo i jako urzędnik, nie mogę. Wiesz, jakie to by były konsekwencje, mnie w tej chwili nie wolno". Bo u nich przewodniczącego wybierał parlament. Prezydent był jeszcze wtedy wybierany przez parlament. Premier był wybierany przez parlament i przewodniczący Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji był wybierany przez parlament. Więc on pełnił bardzo wysoką funkcję. Nie było wyjścia. I, oczywiście, wszystko musieliśmy zainscenizować. Oni musieli normalnie przejechać przez granice. Przyjechali wszyscy od tej strony, razem żeśmy tam weszli, potem rozdzieliliśmy się. Oni przeszli kawałek na drugą stronę, dosłownie zeszli tak, żeby nie było ich widać. [Ekipa] stała z kamerami i wszystko tak było zainscenizowane, żeby było widać, jak z dwóch stron schodzą się obie grupy i się spotykają. W czasach komunistycznych bez problemu żeśmy się spotykali, przechodzili. A w demokracji, nie. Takie życie. Ale to nawet dobrze wyszło. Okazało się, że wszyscy są całkiem niezłymi aktorami. Mamy te zdjęcia w Fundacji Solidarności Polsko-Czesko-Słowackiej. Fundacja powstała od razu po zmianach u nas w 1990 roku, a nie wiem, czy nie w 1989, nawet. Założycielami byłem ja, Mirek Jasiński, Jarek Broda i „Ducin", my byliśmy radą fundacji. Najpierw się nazywała [Fundacja] Solidarności Polsko-Czechosłowackiej. Teraz, po rozpadzie, zmieniła nazwę na [Fundację Solidarności] Polsko-Czesko-Słowackiej. Od początku kieruje nią – jeszcze wówczas student politechniki, teraz już doktor, wykładowca na politechnice – Jarek Szostakowski, który był moim współpracownikiem przy wyborach do Sejmu. Jeszcze wtedy jako student. I on właśnie ściągnął grupę młodych ludzi, jak Zbyszek Niewiarowski, wtedy też

jeszcze student, do zarządu. Oni prowadzą fundację od początku, a my jesteśmy radą. Teraz mieliśmy, zresztą, zebranie rady, już bez „Ducina”, bo „Ducin” dostał wylewu. Bardzo ciężkiego, marny z nim nawet kontakt jest. Przyjechał ze spotkania rady Fundacji Solidarności Polsko-Czesko-Słowackiej, był zmęczony. Na szczęście upadł przy ludziach, więc go uratowali, ale jest sparaliżowany. Nasz przewodnik karkonoski. Ale to jest fenomen, ta fundacja. Dlatego, że my tam działamy, spotykamy się od początku, są teraz nawet ludzie z PIS, jak Julek Golak, który jest radnym wojewódzkim na Dolnym Śląsku. I my się zawsze spotykamy, zapraszamy się do siebie, współpracujemy. Teraz mnie też zaprosił do Pragi. Robi tam szlak świętego Wojciecha. Dostał od Solidarności Polsko-Czesko-Słowackiej całą drukarnie i założył takie pismo polsko-niemiecko-czeskie. W trzech językach wydaje. Bo to jest tam na pograniczu, Nowej Rudzie. I on cały czas robi to, wydaje. [Organizuje] też taki chrześcijański polsko-czesko-niemiecki festiwal, który na początku był polsko-czeski. Kościelny festiwal, ale bardzo otwarty. Rzeczywiście, robią fajne rzeczy. Z drugiej strony, mamy dwa festiwale w Cieszynie też przez Solidarność Polsko-Czechosłowacką sygnowane. Najpierw to się nazywało „Teatr na granicy”. Prowadzi to nasza taka koleżanka z Solidarności Polsko-Czesko-Słowackiej, zresztą nauczycielka szkoły podstawowej. Teraz to się nazywa „Teatr bez granic” i „Film bez granic”. Bo jak nie ma granicy, to już nie „na granicy”. Ale od początku te festiwale były [związane] z nazwą Solidarności Polsko-Czesko-Słowackiej. No i mamy, przede wszystkim, fundację, która szkoli ludzi z całego dawnego Związku sowieckiego, łącznie z Azją. W tej chwili to już na pewno będziemy mieli ponad tysiąc pięćset stypendystów, których zapraszamy, szkolimy, wyposażamy. Cały czas do nas przyjeżdżają. Głównie z organizacji pozarządowych i dziennikarze. Tam niektórym jest trudno. Najwięcej mamy [stypendystów] z Białorusi, w którymś momencie z Ukrainy, nawet z Rosji. A już nie mówiąc o tych wszystkich krajach [azjatyckich]: Uzbekistan, Azerbejdżan, nawet z Mongolii mieliśmy. Z tych krajów, gdzie z prawami człowieka są problemy, z wolnością. Właśnie z tych ich instytucji, Solidarność Polsko-Czesko-Słowacka szkoli tutaj ludzi. Mamy cały system szkolenia i mimo, że to nazywa się Solidarność Polsko-Czesko-Słowacka , to działamy według tej mentalności, którą myśmy mieli. To znaczy pomagamy tym, którym jest gorzej dzisiaj. Czechom, Słowakom nie jest gorzej. Robimy różne rzeczy tak właśnie na styku. Głównie kulturalne. Natomiast pomagamy przede wszystkim tym, którym naprawdę jest ciężej i którym – że tak powiem – możemy ulżyć. Stąd ten właśnie kierunek na wschód. Ale to jest też okazja do spotykania się. Jeździmy na te festiwale. Na „Kino bez granic”, na teatr i do Julka Golak. Nie za często, ale czasami się spotykamy. Ale najważniejsze, że ta Solidarność Polsko-Czesko-Słowacka funkcjonuje.

10. Spotkanie z Vaclavem Havlem na Borówkowej

Chłopaki z Wrocławia, ta grupa: Mirek Jasiński, Jarek Broda, „Ducin” – to oni, a głównie „Ducin” przygotowywali te szlaki, miejsca do spotkań. Natomiast ja

przygotowywałem głównie polską stronę, dlatego, że większość, dziewięćdziesiąt procent ludzi, przychodziła z Warszawy. Bo chodziło o to, żeby pojawili się najbardziej znani ludzie. Po tamtej stronie, była też najbardziej znana grupa na czele z Waszkiem Havlem, który był na wszystkich tych spotkaniach. U nas, no właśnie, do dzisiaj Bogdan Borusewicz do mnie ma pretensje, że jego nigdy nie zabrałem na to konspiracyjne, spotkanie. A, że to byli [ludzie] głównie z Warszawy wynikało też z tego, że trzeba było ich jakoś zorganizować. Przecież to była olbrzymia robota organizacyjna. Bo na czym, to polegało? Musiałem wyznaczyć, kto idzie. Wszystko w konspiracji. Do każdego trzeba było pojechać. Napisać na karteczce: kiedy, co. Potem wszystkich musiałem zgrać. Porozmieszczać. Oni musieli się „pourywać [ogonom], musieli być „czyści". Musieli być umieszczeni w jakichś mieszkaniach, bezpiecznych miejscach, stamtąd trzeba było ich zabrać. Albo część musiała sama się „zerwać" i [gdzieś] dojechać i dopiero stamtąd byli prowadzeni. Logistycznie to była olbrzymia ilość ludzi zaangażowana. Jak się popatrzy na te zdjęcia, to tam czasami było trzydzieści osób. Połowa z tamtej strony, połowa z tej. No, ale piętnastu ludzi tam trzeba było dowieźć. A to byli najbardziej znani działacze, którzy mieli najwięcej „ogonów" i byli najbardziej strzeżeni. Więc poza tym, że ja byłem, bo byłem szefem tego wszystkiego, to był Zbyszek Bujak. Nie na wszystkich, bo jeszcze był w podziemiu, jak było pierwsze. Ale był Janek Lityński, Jacek Kuroń, Adam Michnik, Zbyszek Romaszewski. Takie towarzystwo było. I każdy z nich był, można powiedzieć, na pierwszej linii [walki] z bezpieką. Więc musiałem ich wszystkich gdzieś porozmieszczać. Najbardziej znanych, tych, co najłatwiej było rozpoznać, to wiozłem ja. Więc ja miałem te cztery, czy pięć osób w samochodzie jak bombę zegarową. Gdyby mnie zatrzymali, no to od razu [mieliby] Kuronia, Michnika, Bujaka, Lityńskiego, Romaszewskiego. No, po prostu pięknie. Potem trzeba było podwieźć ich w odpowiednie miejsca. Potem jeszcze podprowadzić na to spotkanie w górach. Więc to po prostu była olbrzymia praca. Jak było przygotowanie to miesiąc, czy więcej było zajmowanie się tylko tym, żeby to wszystko zgrać. Bo też nie można było nigdzie zadzwonić, to wszystko musiało być, że tak powiem, dogadane. Dogadane w sensie takim, że napisane na kartce. Każdy musiał dostać instrukcje. Każdy. Oczywiście, z tego okresu też jest kilka niezłych anegdot. Na przykład Jacek Kuroń opowiadał taką. To było na dużym spotkaniu. W „Gazecie Wyborczej" w „Agorze". Tam było pewnie ze dwie setki ludzi i Jacek Kuroń opowiadał jakie piekło mu – tak po imieniu, po nazwisku, Zbyszek Janas – zmontował. Mówi: „Jedziemy na spotkanie z Havlem, jedziemy, jedziemy. Wiadomo, jest miasto, czy miasteczko, to Zbyszek zmniejsza szybkość. Zmniejsza, zmniejsza. Jedzie wolniutko, wolniutko. Mówię: »No, dawaj!« Nie, jeszcze zmniejsza szybkość. Jedziemy takim Audi, dużym samochodem. Maluch nas wyprzedza. Wyprzedził nas maluch. Potem, patrzymy, traktor nas wyprzedza. Mówię: »No, chyba trochę przesadzasz. Nie?« Ale jak już baba z wózkiem, zaczęła nas wyprzedzać, to ja tylko powiedziałem: »No, nie, kurwa. Tak to nie będziemy jechać«". Oczywiście, wszystko było przesadzone, a prawda

była taka, że był znak czterdzieści, to ja jechałem czterdzieści. Bo ja wiozłem takie towarzystwo, że gdyby mnie zatrzymali, to prawdopodobieństwo tego, że by nas nie puścili było dosyć duże. Więc, jak po prostu było trzydzieści, to jechałem trzydzieści rzeczywiście. Dokładnie tak, jak bozia przykazała, nie było wyjścia. Musiałem ich bezpiecznie doholować. Ale Jacek, oczywiście po swojemu, że baba z wózkiem nas wyprzedziła. Mieliśmy też takie momenty grozy, bo idziemy, na przykład, na jedno z tych spotkań pod górę, już na szlaku. I przypadkowo nam się napatoczył patrol. I zaczyna się legitymowanie. Na szczęście to byli młodzi chłopcy i nic nie wiedzieli. Ale był tam też taki podporucznik , chyba, który dowodził. Tak sprawdza wszystkim te dowody i w którymś momencie bierze dowód Jacka Kuronia i mówi: „O ja gdzieś słyszałem to nazwisko. Ja skądś pana znam. Czy pan czasami nie jest dziennikarzem, który w telewizji występuje?". Jacek mówi: „Tak, tak". – „A, no widzi Pan". Oddał mu to i poszliśmy. Potem okazało się, że ten [który] legitymował, jak zjechał tam i powiedział, że tutaj takiego znanego Jacka Kuronia widział, to natychmiast się zorientowali, że jest coś tu konspiracyjnego i zrobiła się zadyma. Ja ze Zbyszkiem Bujakiem musieliśmy wracać do Warszawy wcześniej, wiec żeśmy zbiegali wcześniej, niż wszyscy inni. Tam czekał mój samochód, zbiegliśmy, wsiedli w mój samochód i pojechali do Warszawy. A całą tę grupę, która za nami schodziła zwinęli, bo oczywiście się zorientowali. Tylko, że już po spotkaniu. Spotkanie nie było zagrożone. Generalnie te spotkania, to były spotkania przyjaciół. Wielka radość, że się udało nam zobaczyć. Wyściskaliśmy się zawsze i tak dalej. I pierwsze co, to były dwie rzeczy przygotowywane. Najczęściej Janek Lityński z Petrem Uhlem – oni dwaj, czasami tam jeszcze ze wspomaganiem, siadali osobno i pisali oświadczenie, propozycję oświadczenia, które wydawaliśmy po każdym takim spotkaniu. A reszta to były, oczywiście, gadki o polityce, o sytuacji. Skrzące się złośliwościami różnymi dyskusje o tym, co się dzieje, jak się dzieje. Zwykle sobie troszkę biesiadowaliśmy. Ja oczywiście samochód prowadziłem, więc nie mogłem. Mówiliśmy zawsze, że trzeba szybko wypić, bo jak nas tu zwiną, to alkohol się nie może zmarnować, bo będziemy żałować do końca swoich dni, żeśmy go nie wypili. Więc żeśmy sobie biesiadowali, a w międzyczasie Janek z Petrem napisali już to oświadczenie. Było czytane na głos i każdy zgłaszał jakieś uwagi. Było przyjmowane, jedni i drudzy dostawali egzemplarz. Chowali gdzieś dobrze, żeby potem ogłosić, ale ponieważ w głowie też to mieli, to nawet, gdyby się wpadło, to Janek, czy Petr tak samo by odtworzył. Ale nigdy na tych dużych spotkaniach nie doszło do żadnej wpadki. Wszystkie były zresztą fotografowane, sfilmowane. Co ciekawe, filmował – zabieraliśmy go – niejaki Braun, teraz znany działacz radykalny prawicowy, Grzegorz Braun. Z uroczą, zresztą, żoną ówczesną. On był w tym środowisku wrocławskim i miał kamerę. Tak, że te filmy, to nie są jego własnością. To była nasza własność, Solidarności Polsko-Czechosłowackiej. On był z zewnątrz i był zabierany, żeby robił te filmy. Przedziwne, prawda? Ale jeszcze wtedy taki wariat nie był. Chociaż chłopaki mi mówili, że on od zawsze był taki osobny i taki radykalny. Potem się stał nie do

zniesienia z tymi teoriami wszystkimi. Pamiętam taką anegdotkę piękną, Kiedy Jacek Kuroń do Waszka mówi: „Waszek, wiesz co? Bo jak ja z tobą rozmawiam, to trochę rozumiem, ale mało. A jak rozmawiam z Petrem, to jego dużo więcej rozumiem. To powiedz mi, dlaczego tak jest?". A Petr mówił lekko wtrącając polskie słowa, bo trochę czytał po polsku, więc mówił tak trochę polskim, trochę czeskim i rzeczywiście łatwiej można było zrozumieć. Na co Waszek tak poważnie mówi: „A co ja se mam bogatsy, literacki jezyk". Oni zawsze trochę ze sobą rywalizowali, był taki trochę konflikt, ale taki przyjacielski, oczywiście. Bo Petr był taki lewicujący mocno, więc każdy, kto znał ich, wiedział, jaki jest podtekst. Jak to kiedyś w tych dowcipach, gdzie trzeba było ująć tak bardzo tak nie wprost, bo była cenzura. Tutaj nie było, oczywiście, cenzury, natomiast Waszek po prostu przywalił bardzo lekko i dowcipnie. Oczywiście myśmy od razu złapali to. Przecież się różniliśmy, tu też się różniliśmy. Ale można było jeszcze, w odróżnieniu od dzisiejszego życia politycznego, normalnie ze sobą rozmawiać i nawet się sprzeczać, ale nie tracić kontaktu ze sobą. Może dlatego, że byliśmy wszyscy zagrożeni. To łatwiej było.

11. Że coś się zmieni, było widać

Że coś się zmieni, to już było widać na pierwszym spotkaniu po wyborach czerwcowych. Dlatego, że – jak dzisiaj pamiętam – ja organizowałem to spotkanie tu po tej stronie, a po tamtej stronie, Petr. I oni przyszli w pełnym, że tak powiem, wydaniu. Łącznie z Waszkiem Havlem. A po naszej stronie, nikt z tych „wielkich" już nie przyszedł. Nie mieli czasu. Można to zrozumieć, bo to był już czerwiec, to się dopiero co zmieniło. Ale widziałem rozczarowanie w oczach Waszka. Bo oni oczywiście chcieli się dowiedzieć, co tu się dzieje. Kilku z nas poszło, ale no żaden z naszych „wielkich" nie przyszedł. I to już wskazywało, że będzie inaczej, nawet jeśli u nas jeszcze nie było wiadomo, co się stanie i w jaką stronę pójdzie. Ale po tego typu zmianach, trzeba się liczyć z tym, że wszystko będzie zupełnie inne. Trochę mi wtedy było, prawdę powiedziawszy, wstyd i przykro, że właśnie tak się stało. Oczywiście dla nich my byliśmy równie ważni, że przyszliśmy i opowiedzieliśmy. Pamiętam jak dzisiaj, oglądali moją legitymację poselską i po prostu nie mogli uwierzyć, że ten kryminalista nagle [pojawia się] z legitymacją poselską. Że jakby przyszła bezpieka to mogą nas „pocałować". Mnie przynajmniej. W każdym razie to pokazywało, jak zupełnie inna już jest sytuacja. Opowiem jeszcze jedną historię, która rzeczywiście pokazywała, jak to było dla nas ważne. Była taka potrzeba – nie pamiętam, dlaczego – żeby się spotkać w zimę. Wtedy Wrocław przygotowywał to [spotkanie]. Ja dzisiaj już nie pamiętam, co to się działo, ale w każdym razie mieliśmy wtedy taką potrzebę. Czesi mieli taką potrzebę, żeby się spotkać. Poszliśmy w góry. Poszedłem ja, Mirek Jasiński, „Ducina" nie było na tym spotkaniu, chociaż on je przygotowywał, poszedł Jarek Broda i Radek Gawlik taki późniejszy działacz „Zielonych" i poseł. Poszliśmy we czterech. We czterech na szlak w absolutną zimę, taką prawdziwą w górach zimę. Był mróz. Sypało. Zawieja. Pamiętam, nic prawie nie widzieliśmy, bo śnieg nam

zasuwał [w oczy]. Jarek ma bujną brodę. Jest taki okrągły, „misiowaty”., Wyglądał, jak Mikołaj na święta. Po prostu był cały biały. Ja się obejrzałem i parsknąłem śmiechem. Wszyscy trochę tak żeśmy wyglądali, bo to parowało i od razu zamarzało, bo był mróz. I myśmy szli w te góry we czterech, dzisiaj uważam, że byliśmy prawie samobójcami, bo Karkonosze są bardzo groźne w zimie. A my musieliśmy przejść szlakiem i wyjść na grań. I twardo żeśmy maszerowali, bo byliśmy umówieni. Nie może być tak, że Czesi dojdą, [a my, nie], no to po prostu nie ma mowy. Tam takie tyczki były, żeby było widać, gdzie szlak jest. Były potężne, ale tak zasypane, że tylko czubki [wystawały].Więc idziemy na grań, było wiadomo, że musimy przejść tyle i tyle tyczek. I twardo śmy skręcili tą granią, potąd w śniegu żeśmy się zapadali. I tak tylko noga za nogą przez ten śnieg żeśmy zamaszerowali do tego miejsca. Długo to trwało, przez ten śnieg i ten wiatr ledwo żeśmy żyli. Czekamy, czekamy. Małośmy nie zamarzli. Czesi, nie przyszli – może nie dali rady, może coś. Jak żeśmy już zobaczyli, że nie przyszli – no to z powrotem. Znowu przez ten śnieg. Z powrotem tą granią. Schodzimy, już troszeczkę lżej było, już był las, więc już nie było takich zasp i mieliśmy wiatr w plecy, już się oczywiście łatwiej schodziło. Wyglądaliśmy, jak Mikołaje. Jak miśki takie, całe obsypane śniegiem. Schodzimy i nagle patrzymy, z boku żołnierze z WOP-u. No, ale idziemy, przecież nie będziemy uciekać, ganiać się z nimi. Zawsze byliśmy przygotowani na to, że nas zatrzymają, aresztują, czy coś, więc schodzimy. Dochodzimy do nich, a oni mówią: „No i, co? Czesi nie przyszli?”. –„A wy skąd wiecie?” „A, bo – mówi – dzwonili już z drugiej strony, że zatrzymali tam na dole grupę tych Czechów, którzy szli na spotkanie z wami. A myśmy was widzieli”. Mówię: „To kurwa, dlaczego, żeście nas od razu nie ostrzegli?” – „Bo chcieliśmy zobaczyć, jak się będziecie męczyć”. Jak ja byłem wściekły! Pewnie bym się rzucił na nich z pięściami. Ale Jarek zaczął się po prostu śmiać. A on się tak tubalnie, fajnie śmieje. Zaczął się śmiać to i myśmy zaczęli się śmiać. Po tym wszystkim mówi: „To sukinsyny. Jeszcze się z nas nabijali”. W końcu wyszła z tego niezła zabawa, ale ja to byłem wściekły. Bo po prostu mogliśmy tam normalnie zostać, to było tak groźne. Ale byliśmy twardzi, młodzi, mieliśmy siłę. A też byliśmy przekonani, że jak się umawiasz, to musisz być, bo to po prostu nie są żarty. Ludzie ryzykują po drugiej stronie więcej, niż my. Ale skończyło się wszystko na takiej anegdocie. Nie aresztowali nas, bo nie było powodu – przecież nie spotkaliśmy się z Czechami. Ale wiedzieli, oczywiście, żeśmy szli na spotkanie z Czechami. Jak by nas spotkali i zatrzymali, no to by nas musieli aresztować. A tak? Byliśmy na szlaku – no, co? Wolno nam. Potem już nie mieliśmy takich pomysłów, tylko twardo czekaliśmy na wiosnę. Na roztopy, kiedy już nie trzeba było iść po lodzie i po śniegu. W tym okresie właśnie żeśmy wszystko przygotowywali tak, żeby zdążyć [do wiosny]. Jak trzeba było, to często chodziliśmy. Ale zawsze brakowało ludzi, bo to było zawsze ryzyko. Był taki jeden przerzut, [kiedy] rzeczywiście mieliśmy więcej szczęścia, jak rozumu. Miałem takich dwóch „pistoletów”. Obaj byli z Solidarności Walczącej. Jeden z nich pracował u nas w spółdzielni, drugi był prawnikiem. Obaj tacy bardzo radykalni politycznie, jak to z

Solidarności Walczącej. Tyko, że Solidarność Walcząca, to było hasło i żadnej „roboty”. To zresztą, przyznają ci ludzie z tej Solidarności, że tam, po prostu, nie było żadnej „roboty”, żadnych pomysłów. Najwspanialsza rzecz, która im się przytrafiła, to było to, że spotkali nas. Nagle mieli rzeczywiście, co robić. Była przygoda, było też ryzyko. Oni dopiero zobaczyli, jak można działać. A tam, to co? Piękne słowa, wielkie słowa. I tyle. Tam nie było żadnej organizacji. To zresztą publicznie powiedział nasz kolega, jak żeśmy odsłaniali tę [tablicę], bo on jest z Lądka Zdroju. On był w Solidarności Walczącej i nic nie miał do roboty, nikt od niego nic nie chciał. Dla niego najwspanialszy czas był dopiero, jak spotkał ludzi z Solidarności Polsko-Czechosłowackiej. Dopiero się zaczęła przygoda jego życia. To był akt polityczny, ale i przygoda też była wspaniała. I ci moi, jak ja ich nazywam: „dwóch wariatów”, bo trochę tacy byli i do dzisiaj są – teraz na przykład skaczą ze spadochronów, zawsze byli „postrzeleni” i tacy do dzisiaj zostali – oni właśnie chodzili we dwóch na te przerzuty, jako kurierzy. Kiedyś pojechali moim samochodem. Maluchem. Bo już miałem wtedy malucha, zarobiłem w tej spółdzielni. Mimo, że chodziłem na przerzuty i ten czas traciłem, to bardzo dobrześmy zarabiali, więc z jednej transakcji kupiłem samochód na giełdzie. To w tamtych lasach, to było coś. Tak powiem, że dawałem sobie rade z moimi przyjaciółmi. Natomiast samochodów nie było za dużo, więc oni pojechali moim samochodem z tym plecakiem, z przerzutem. Ale samochód im wysiadł po drodze. Jakoś tam sobie poradzili, bo malucha można było wyklepać młotkiem, czy meslem. Jak wiadomo było, co jest, to się pojechało, więc jakoś tam sobie poradzili, ale już byli spóźnieni sporo. Normalnie nie wolno im było, oczywiście, jechać na miejsce, czyli pod schronisko, tylko musieli niżej zostawić samochód i iść. Chodziło o bezpieczeństwo. Ale oni, jak to te „postrzeleńce”: „Spóźnimy się. Ryzykujemy? Ryzykujemy”. I tym maluchem, czego nikomu nie wolno było [robić], bo tam jeździły patrole i tak dalej – pod samo schronisko zajechali. Na Chochołowskiej. Z tym pełnym plecakiem załadowanym książkami. I prawie byli o czasie dzięki temu. Bo tam jest dość daleko od tej polany, to trzeba by jeszcze z takim napakowanym [plecakiem] chyba z półtorej godziny iść. Natomiast oni, po prostu tym maluchem podjechali pod samo [schronisko] i, jak to zwykle, mieli szczęście, bo ich żaden patrol nie spotkał. Ani w tę, ani w tę [stronę]. Więc i pojechali, i plecak zanieśli i „czeski” znieśli, i przyjechali. Bez zatrzymania. Co było nieprawdopodobne, bo tam bez przerwy kontrolowali wtedy. Czasami trzeba było mieć takie wariackie pomysły. Oni mieli i nie zastanawiali się długo. I mieli szczęście. Ja to się śmiałem z nich, jak byliśmy razem na odsłonięciu tej tablicy, mówię, że jak teraz nie mają tej adrenaliny, bo nie chodzą w góry, to muszą skakać. Jest taki typ, taki globtroter, kompletny wariat. W sensie pozytywnym. Oczywiście mamy kontakty i kolegujemy się, mimo, że to są „postrzeleńcy” tacy. Ale trzeba im oddać [sprawiedliwość], że rzeczywiście, w tym czasie chodzili, pomagali i byli zaangażowani. Każdemu trzeba to oddać. Potem mieliśmy z Czechami w „Ornaku” spotkanie przyjaciół. Czesi tam przecież nigdy nie byli. Więc dopiero wtedy zobaczyli, gdzie my się spotykaliśmy. Teraz zresztą „Ornak”

służy jako dom taki wypoczynkowy, więc zarezerwowaliśmy wcześniej wszystko i tam żeśmy spali. To był taki wieczór, gdzie wszyscy opowiadaliśmy – to też było nagrywane i filmowane – i Czesi, i my opowiadaliśmy te swoje historie. I nawet, jak się człowiek potem różni politycznie, to my, Solidarność Polsko-Czesko-Słowacka jesteśmy taką organizacją, gdzie – chyba jedyną mi znaną – gdzie my do dzisiaj, niezależnie od tego, kto gdzie był, nie przestaliśmy się spotykać. Mirek Jasiński był w którymś momencie wojewodą z ramienia rządu Olszewskiego, czyli najbardziej prawicowego. Julek jest radnym z PIS. I w dalszym ciągu spotykamy się ze sobą. Jedyna organizacja, którą ja znam, której [członkowie] nigdy z powodów politycznych nie przestali się ze sobą spotykać. Jesteśmy takim przykładem, że można. Że są ludzie, którzy potrafią ze sobą współpracować, nie boją się ze sobą współpracować i nie wstydzą się tego. Naprawdę. Tylko to odpowiedni ludzie muszą być i muszą być więzi. Trochę większe, niż dzisiejsze pyskowanie i walka polityczna. [Ludzie] muszą się na czym innym też koncentrować, na czymś pozytywnym. Można powiedzieć, ze akurat nas, to połączyli Czesi i Słowacy. I teraz mamy ten 1989 rok, 4 czerwca. Wybory. Rzecz prawie nieprawdopodobna. Czesi to traktowali jako absolutny cud. No, bo przychodzi Zbyszek Janas i pokazuje im swoją legitymacje poselską. Jest posłem. Przecież to nasz kumpel kryminalista, który musiał się tu ukrywać i lasami łazić. I nagle przychodzi poseł i mówi: „Niech tu przyjdą. Mam immunitet poselski". Więc to po prostu było [postrzegane] w kategoriach cudu. Oni jednak nie byli tak optymistyczni, [nie sądzili], że to się dobrze skończy.

12. Wykorzystać każde 5 minut

Zresztą, my też do końca nie. Bo też nie wiedzieliśmy wtedy, tak naprawdę, co się będzie działo. Wtedy jedno wiedzieliśmy: trzeba wykorzystać każde pięć minut. Ja jestem działaczem jeszcze KOR-owskim. Byłem robotnikiem wtedy, to też trochę inne środowisko, niż to, które tworzyło KOR. I oczywiście myśmy mieli wkalkulowane ze Zbyszkiem Bujakiem i z Arkiem Czelikiem, że pójdziemy siedzieć. Bo wiadomo było, że nas bezpieka „obstawiała". Mieliśmy czasami obstawę ubecką, wiadomo było, że nas w którymś momencie wsadzą. I to, że nagle zaczęła się Solidarność, to też był cud. To też był cud. Też wiedzieliśmy, że to się różnie może skończyć i nie wiadomo, ile będzie trwało. Natomiast moje podejście było zawsze takie: jeśli to ma trwać pięć minut, to trzeba te pięć minut, każdą sekundę, wykorzystać. I tak budowałem Solidarność w „Ursusie". Tak się angażowałem na rzecz działania w różnych strukturach. Byłem, zresztą razem z Leszkiem Kaczyńskim, w radzie patronackiej zajmującej się więźniami politycznymi. Mimo, że potem my sami staliśmy się więźniami, ale powołaliśmy taką organizację. Wtedy „Ursus" był w sieci wiodących zakładów, które wypracowywały różne reformy, między innymi, samorządową. To było porozumienie tych wielkich zakładów, które wypracowywały [wspólne rozwiązania], zresztą współpracował z nimi Leszek Balcerowicz. Ja byłem członkiem Komisji Krajowej, więc byłem we władzach krajowych i wiedziałem jedno, że każdą

inicjatywę, która się pojawi i będzie zgodna z duchem Solidarności trzeba natychmiast łapać i wspierać. Że trzeba jak najwięcej zbudować, bo to wszystko zostanie, jak nas potem zaatakują – co do tego myśmy nie mieli, w zasadzie wątpliwości. Tyko było pytanie, kiedy? Na jakich zasadach? Przecież widzieliśmy, co się dzieje. Dlatego my w „Ursusie", na przykład, mieliśmy drukarnie. „Waliliśmy" książki w każdej ilości, jaka tyko mogła być wchłonięta. Mieliśmy swoje gazetki. Robiliśmy wykłady dla ludzi, bo wiedzieliśmy, że to przetrwa. Że nawet, jak nas zaatakują, to każda ta książka będzie wtedy miała zupełnie inną wartość. I to się sprawdziło. I to było prawdą. Myśmy mieli, na przykład, u siebie bibliotekę niezależnych wydawnictw. Ludzie mogli je kupić, a ci, którzy nie mieli pieniędzy, mogli wypożyczać. I Jola Polakowska, która to tworzyła, potem całe życie miała straszny wyrzut sumienia, że nie zdołała tych książek uratować, tej biblioteki. Potem, jak została moją łączniczką w podziemiu, to mówiła, że trochę odpracowuje ten swój wyrzut sumienia. Potem przestała ze mną współpracować, po tym, jak o mało żeśmy nie mieli wpadki. Musieliśmy, bo ją bezpieka sprawdziła, na jej dowodzie. Ja miałem „lewy" dowód, więc nie wiedzieli, że to ja. Natomiast ją mogli w którymś momencie skojarzyć. Poszłaby siedzieć. Zresztą, później została aresztowana. I nie było u nas tych książek już więcej. Być może gdzieś zostały umieszczone, w jakiejś bibliotece, czy jakichś archiwach. Ale nie wiem nic o tym. Nie mam żadnych dokumentów. Nie wiem. Wywieźli i koniec. Tak, jak, zresztą wszystkie dokumenty Solidarności w „Ursusie". Ale oczywiście te rzeczy w różnych miejscach są. Na przykład mamy kolegę, który ma wszystkie nasze biuletyny. Co do jednego wszystkie sztuki. Po prostu je zbierał i wszystko przetrwało przez ten czas. Dlatego to miało taką wartość. I takie było moje myślenie. Zrobić wszystko, co się tylko da. Zresztą, o tym, że nie byliśmy naiwniacy świadczy parę rzeczy, które żeśmy robili. Pierwsza, która o tym świadczy, to jest Wrocław, który „wyciągnął", bo miał takie możliwości, te słynne osiemdziesiąt milionów. I u Gulbinowicza to wszystko zdeponowali. Do dzisiaj mam wątpliwości, jak oni tym zarządzali, że ciągle brakowało pieniędzy, a oni to trzymali, jak pod korcem, nie wiadomo po co. A trzeba było po prostu walczyć. Nawet Mazowsze „wyciągnęło" tylko dziesięć milionów, a ja nie mogłem, ani złotówki „wyciągnąć", bo u mnie była taka demokracja, że o każdą złotówkę od razu byłoby podejrzenie i awantura. My obaj ze Zbyszkiem byliśmy takimi demokratami, a i tak Zbyszkowi się udało te dziesięć milionów gdzieś tam zakamuflować. Ale na przykład ja w „Ursusie" powołałem chyba trzy konspiracyjne kierownictwa Solidarności, gdzie byli powołani ludzie i tylko ja wiedziałem, kto jest w tym. Tych przewodniczących tajnej komisji ja „powoływałem" indywidualnie. Bo chodziło o to, żeby to się nigdzie nie rozniosło, żeby nikt nie wiedział. A wszyscy ci ludzie działali, żadna z tych osób nie wycofała się. Natomiast nie mogli być przywódcami z różnych powodów. Bo się okazuje, że jednak ta transformacja z takiego otwartego ruchu w konspiracyjny działa na trochę innych zasadach. Jeśli chodzi o 1989 rok, to się zaczęło od pewnego falstartu. Ale później, już kiedy zaczynało się kształtować, jak to będzie, kiedy już było

widać światełka w tunelu, to wróciliśmy do tej idei współpracy. Tyko, że już na innych zasadach.

13. Wyjazd do Pragi w sierpniu 1989 roku

I pierwszą rzecz, którą żeśmy wymyślili, tutaj mogę powiedzieć, że ja to wymyśliłem, to zorganizowaliśmy wyjazd do ówczesnej Czechosłowacji, ponieważ ja się w Sejmie zajmowałem polityką zagraniczną i to głównie współpracą z naszymi sąsiadami. To, że wtedy ja języków nie znałem, byłem „robolem", to nie miało żadnego znaczenia. Bo tu liczyło się to, kto ma jakieś pomysły, kto ma doświadczenie. A ja je miałem tutaj, w Warszawie, jako jedyny. I w Sejmie od razu zostałem – niejako sam się mianowałem – [specjalistą] od kontaktów, od współpracy. I to był, bodajże, sierpień 1989 roku. To oczywiście było pół-konspiracyjne, dlatego że z tamtej strony, oczywiście, musiało być utrzymane w konspiracji. My już nie musieliśmy. Zorganizowałem ten formalny wyjazd. Jechałem wtedy ja, Adam Michnik, Janek Lityński, Zbyszek Bujak. I z Wrocławia przyjechał Mirek Jasiński. Nawet ja ich wiozłem. Pojechaliśmy przez Łysą Polanę. Na tej Łysej Polanie nas zatrzymali. A po naszej stronie już była wolność. Bo byliśmy po wolnych wyborach. Oczywiście nasi pogranicznicy do nas przyszli, ale było bardzo miło. A Czesi nas zatrzymali. Tylko, że ja to przewidziałem wcześniej i oczywiście, jak już wszystko mieliśmy uzgodnione, to zadzwoniłem do Petra Pospichala, który miał telefon oczywiście na podsłuchu: „Petr słuchaj, przyjeżdżamy tego i tego dnia. Jeśli nas Czesi nie wpuszczą, to wtedy realizujemy wariant drugi i się spotykamy, tak, jak się umówiliśmy". Przesłanie było bardzo jasne – nie puścicie nas, to przejdziemy przez granice nielegalnie. Będziecie mieli pasztet. Takie było dokładnie przesłanie, które wiedziałem, że tam dotrze. Stoimy. Trwało to z godzinę, może półtorej. Zadzwoniłem nawet do ministra Skubiszewskiego, że polskich posłów nie wpuszczają. W końcu widzimy – przyjechała bezpieka. Potem przychodzą, przynoszą nam paszporty – proszę bardzo. Ryk radości był taki, ze mało dach z tego samochodu nie odpadł. Z radości, że wjeżdżamy do naszych przyjaciół i zaraz się spotkamy już normalnie. To są takie emocjonalne momenty, których człowiek sobie nie wyobraża. Dzisiaj wjechanie, to co to jest. Po prostu trzeba było żyć w takich czasach, żeby widzieć, dlaczego trzeba bronić tej otwartej Europy, demokracji, żeby wiedzieć, czego nie potrzebujemy, a co jest naprawdę dla ludzi straszne. Bo na co dzień nikt tego nie widzi, nie rozumie, nie czuje. Tego, jak można w druga stronę pójść, jakie są koszty tego i jak to boli, po prostu. Bezpieka oczywiście cały czas jechała za nami. Pojechaliśmy do Pragi, tam się spotkaliśmy u Petra Uhla i u Hanki, czyli tam, gdzie w ogóle po raz pierwszy padła nazwa Solidarność Polsko – Czechosłowacka. Tam spędziliśmy dzień, chodziliśmy po Pradze, rozmawialiśmy o tym, co się u nas dzieje, co u nich. Z Waszkiem Havlem wtedy się nie widzieliśmy, mieliśmy pojechać następnego dnia na Hradeczek, gdzie Waszek był z Olgą w tej letniej chacie. Chodziliśmy po tej Pradze, piękne miasto, zaniedbane wtedy, takie trochę potiomkinowskie, ale mimo wszystko przepiękne.

Zaprowadzili nas na Most Karola, a tam siedzą takie grupki młodzieży, grają na gitarach jakieś songi, ściskają się, palą. I teraz jest dyskusja, kto pierwszy to powiedział – czy Zbyszek Bujak, czy Adam Michnik, bo ja też miałem taką myśl: tu już nie ma komunizmu. Tu jest wolny kraj. Tu, na tym Moście Karola wolni ludzie siedzą. Czesi [zaprzeczyli] – „Nie, nie, to tylko tak wygląda. Wy nie czujecie tego, ale nie wiadomo ile jeszcze czasu tu się nic nie zmieni". Ale to znamienne było, że myśmy czuli powiew wolności, że były elementy takie, które myśmy już u siebie widzieli. Że to się po prostu już zmienia. Były długie, nocne rozmowy przyjaciół, dyskusje do rana – poza mną, bo ja przecież prowadziłem samochód, a następnego dnia jechaliśmy do Havlów. U Havlów wtedy był tylko Sasa Vondra, Krysia Krauze, która tłumaczyła no i my. Przyjęli nas bardzo serdecznie, Olgę dopiero wtedy poznałem. Powiesili tak pięknie narysowane, na wejściu „Wiwat Solidarność". I znowu długie nocne rozmowy polsko – czechosłowackie.

14. Spotkanie z Aleksandrem Dubčekiem

W międzyczasie, nasi przyjaciele z „Karty" dali nam znać, że chciałby się z nami spotkać Dubček, czyli ten I-szy sekretarz w 1968 roku. Później zresztą był przewodniczącym, marszałkiem parlamentu czechosłowackiego. To był Słowak, zginął jadąc z Pragi do Bratysławy, bo w Bratysławie mieszkał. My sami byliśmy bardzo ciekawi, więc oczywiście, jeśli Dubček chce się z nami [spotkać], to przedłużamy naszą wizytę. Pojechaliśmy najpierw z Karkonoszy do Pragi, a potem tą słynną autostradą pojechaliśmy do Bratysławy. Jedyne, co nam dokuczało, to ta bezpieka, to że milicja nas po drodze chyba ze dwa razy zatrzymała. Chodzili, samochód oglądali i próbowali nas ukarać mandatami za, na przykład, kawałeczek oderwanego chlapacza albo jakąś rysę. Widać było, że chcieli nam dokuczyć. Ale za każdym razem Adam Michnik wyskakiwał, krzyczał na nich trochę po polsku, trochę po czesku, machał legitymacją poselską i puszczali nas. Widać było, że to tylko temu służyło, żeby nas kontrolować. Zobaczyć, czy my się przestraszymy, czy może zrezygnujemy. Oni wiedzieli oczywiście, że jedziemy do Dubčeka i niezły cyrk urządzili. Potem mieliśmy też spotkanie z dysydentami słowackimi. Między innymi z Mirkiem Kusym. Z Jankiem Czarnogórskim, późniejszym premierem Słowacji, a wcześniej wicepremierem rządu czechosłowackiego chyba nie, bo on siedział wtedy. Jan jakoś dość długo siedział. Nie przypominam sobie, żebyśmy się wtedy spotkali, chyba [dopiero] następnym razem. Mieliśmy adres [Dubčeka] w Bratysławie, on zresztą bardzo pięknie mieszkał, na takim wzgórzu. Bez problemu tam trafiliśmy. Zajechaliśmy trochę wcześniej, niż byliśmy umówieni, ale chcieliśmy sobie pochodzić. Bo akurat cały czas była ładna pogoda. Jak tylko tam dojeżdżaliśmy, bo musieliśmy znaleźć miejsce, żeby zaparkować samochód, to już widzieliśmy, że na całej tej trasie jest obstawa. Obstawa była bardzo charakterystyczna, mało żeśmy nie pękli ze śmiechu, ponieważ odgrywali ci ubecy robotników. Rzecz polegała na tym, że wszyscy mieli nowiusieńkie drelichy, jak spod igły. Tacy to byli robotnicy. Ubecy

przebrani za robotników. Wszyscy mieli teczki, które w charakterystyczny sposób trzymali, ponieważ tam mieli mikrofon i nadawali. Po prostu pęknąć ze śmiechu można było. Już lepiej, jak by normalny milicjant albo normalny ubek stał. Więc myśmy pękali ze śmiechu, mówimy, że takiego cyrku, to nawet ta nasza, głupia bezpieka nie urządzała. Choć też mieli różne, idiotyczne pomysły. Ale coś takiego urządzić? No to po prostu trzeba być debilem chyba, bo inaczej, tego nie można nazwać. Za robotników przebrani, w nowiusieńkich, nawet niezabrudzonych garniturach. Idiotyzm kompletny. Ale konspiracja. Przecież to widać było, na kilometr przecież bezpieką śmierdziało. Obstawiony dom cały. Ze wszystkich stron i wszyscy w tych drelichach. Mieliśmy niezły ubaw. Weszliśmy do domu, Dubček nas bardzo sympatycznie przyjął. Tylko, że u Dubčeka, byłem ja, Adam Michnik i Janek Lityński. We trzech tylko. Reszta pojechała do Warszawy różnymi środkami lokomocji. Spędziliśmy u niego naprawdę dużo czasu. Oczywiście, byliśmy ciekawi jego oceny 1968. Opowiadał nam o ’8 ze wszystkimi szczegółami. Myśmy mu opowiadali o tym, co się w Polsce dzieje. Jakie są nasze przewidywania również co do zmian tutaj. Absolutnie wieszczyliśmy, że naszym zdaniem w bardzo krótkim czasie u nich też się walnie. I tyko jest pytanie, jakie będę konsekwencje? Jakie ofiary? Czy będą? Czy nie? Mówiliśmy, ze dużo zależy również od nich tutaj. Ale to było widać już, że po prostu ta wolność nadchodzi. Po prostu już ją czuć. My to czuliśmy, chociaż oni, nie. Oni zresztą, nawet na parę dni przed wybuchem „Aksamitnej Rewolucji” też nie czuli. Mówili, że to jeszcze przez lata będzie. A za parę dni już nie było komunistów. Janek Lityński jeszcze przeprowadził z Dubčekiem wywiad dla „Gazety Wyborczej”. Rzeczywiście, ukazał się, był ten wywiad drukowany, taki już formalny, poza tymi, naszymi rozmowami. I tak dalej. Potem widzieliśmy się z Mirkiem Kusym. Byli działacze opozycji. Były oczywiście rozmowy, wszędzie te same. Czyli, co się stało w Polsce? Co się dzieje? I co się tutaj może stać? Można przewidzieć, cośmy mówili, jak myśmy to przedstawiali. Wróciliśmy do Polski bez żadnego problemu. Nie było już żadnych prób zatrzymywania nas. Granicę przejechaliśmy bez żadnych problemów. Mieliśmy paszporty dyplomatyczne, więc odbyło się to bez żadnego problemu.

15. Wizyta w Stanach Zjednoczonych w 1989 roku

Wierzyliśmy, że to się zmieni. Dlaczego? Jeszcze wcześniej, w lutym 1989 roku wyjechałem do Stanów Zjednoczonych na zaproszenie organizacji pozarządowej zajmującej się promowaniem demokracji. Ona właśnie, zapraszała różnych ludzi do Stanów Zjednoczonych. Pojechałem z Grześkiem Kostrzewą-Zorbasem, z którym współpracowałem. On wydawał „Nową Koalicję”, takie właśnie analityczne artykuły o tym, jak się będzie zmieniała Europa Wschodnia. To była gazeta, a właściwie taki kwartalnik książkowy, „Nowa Koalicja” się nazywał. I to były rzeczywiście analityczne, bardzo poważne artykuły. Grzesiek był jakby szefem tego [wydawnictwa] i stąd się wzięła nasza współpraca. Ja mu przemycałem różne teksty z drugiej strony i tak współpracowaliśmy. Polecieliśmy obaj na pięć tygodni do Stanów Zjednoczonych

właśnie jako ludzie zajmujący się Europą Środkowowschodnią, współpracujący z opozycją. Mieliśmy bardzo wiele spotkań, bo to było półtora miesiąca prawie, pięć tygodni bardzo luksusowego pobytu. Myśmy tylko palcem pokazywali, gdzie w Stanach, chcemy być. Dostaliśmy plik biletów i przewodnika, który cały czas z nami jeździł i wszystko załatwiał, żebyśmy mieli głowę zajętą tyko rozmowami z ludźmi i spotkaniami. Mieliśmy tych spotkań olbrzymią ilość. Dostaliśmy plik pieniędzy, dla nas wtedy to była niewyobrażalna ilość. Sześć tysięcy dolarów każdy z nas dostał. Mieliśmy oczywiście za to opłacać sobie hotele i tak dalej. Ale nie mieliśmy prawie żadnej okazji. Jedyny hotel, który żeśmy opłacili był w Las Vegas. I też się okazało, że pierwszy kierowca, który po nas przyjechał był Polakiem. Jak usłyszał, że jesteśmy z Solidarności, to już nas chciał ściągnąć do siebie do domu. Wszędzie byli Polacy i oni nas gościli. W ogóle, nie było mowy, żebyśmy tam gdzieś poszli do hotelu. Bo wszyscy byli tak złaknieni [informacji], a tu nagle przyjeżdżają faceci z konspiracji, znani i zajmujący się ciekawymi rzeczami. Dla Polaków tam, to po prostu było jak powietrze, którego im brakowało. Polskie. Ja o tym mówię dlatego, że to po prostu był szok, bo do tej pory nikogo z nas nie wypuszczali. Nagle jedziemy do Stanów, mamy luksus, ja nie jestem przy Okrągłym Stole, tylko jestem niejako wydelegowany, żeby mówić z tymi ludźmi o tym, co się w Polsce będzie działo. Ale nie tylko w Polsce. Również w całej Europie Środkowowschodniej. Przylecieliśmy do Waszyngtonu. Pierwszym, który po nas wychodzi jest Jan Nowak-Jeziorański, który oczywiście się nami tam, w Waszyngtonie, opiekuje. On nam przygotowuje cały program wizyt, tych politycznych. Wiezie nas do Brzezińskiego, to jest oczywiste. Wiezie nas do Białego Domu. Wiezie nas do Departamentu Stanu. Mamy cały szereg spotkań na uniwersytetach. I tu będzie anegdota. Bo ja jestem prosty robotnik, prawda? Jeszcze tu z konspiracji, z Polski. Wchodzimy do Departamentu Stanu. Wychodzi po nas szefowa tego [działu] wschodniego, Europy Środkowowschodniej. Wita się, całuję ją w rękę i tak kątem oka widzę, że Jan Nowak-Jeziorański zesztywniał patrząc na to. Zaczęliśmy rozmowę, długą bardzo rozmowę. Widać, że oni się bardzo dobrze orientują, ale cały czas jest przekonanie, że to się wszystko może jeszcze źle skończyć, mimo, że jest ten Okrągły Stół. Tak długo rozmawialiśmy i używaliśmy tak poważnych argumentów, a i oni nas uważnie słuchali, ponieważ nie mieli takich kontaktów, jaki mieliśmy my. I wiedzieliśmy bardzo dużo, bo przecież nie tylko z Czechosłowacją mieliśmy kontakt, ale i z Niemcami Wschodnimi, z Ukrainą, z Węgrami. Przecież ja byłem też założycielem Solidarności Polsko-Węgierskiej, więc mieliśmy te kontakty. I oczywiście wiedzieliśmy, że to wygląda różnie w różnych krajach. Bardzo żeśmy ich przekonywali, że całe ich myślenie, myślenie o tym, co robić musi być nastawione na to, że te zmiany będą i to bardzo szybko. Nie tylko w Polsce, ale w Polsce są najbliżej. Bo jak się Okrągły Stół zakończy powodzeniem, to zwyczajnie będzie rewolucja. Ale za tym muszą pójść zmiany. Pytanie jest tylko, kiedy? Jakim kosztem? Tak, że Ameryka musi być na to przygotowana. Mieć odpowiedź. Musi to śledzić. Musi to bardzo dokładnie opisywać. Politolodzy muszą

jeździć, wsłuchać się, żeby mogli nam potem realnie pomóc. Bo za tym też muszą pójść decyzje polityczne, jak nam pomóc? Bo przecież to są „zbankrutowane" kraje. Wiele z tych krajów jest na skraju bankructwa. Więc jak się to wszystko załamie, jak ludzie nie będą mieli chleba, to zrobią jakąś rewolucję. Wszyscy wiedzieli, jaka jest sytuacja gospodarcza. I myśmy im tłumaczyli, że my musimy mieć ich wsparcie wtedy, gdy będziemy przeprowadzać te reformy, jak będzie zmiana systemu, co jest bardzo prawdopodobne. Że musimy od naszych przyjaciół mieć wsparcie. I myślę, że tym żeśmy ich przekonali. To zresztą mówił Jan Nowak-Jeziorański i Zbigniew Brzeziński. Bardzo żeśmy na nich liczyli, że oni potem, po tych rozmowach z nami zaczną też ten establishment amerykański, rządowy przekonywać. Skończyliśmy te rozmowy i jakoś wieczorem zadzwonił do mnie pan Nowak-Jeziorański. I mówi: „Wie Pan co? Jednak ja się myliłem. Widziałem się z tą panią, którą pan w rękę pocałował. Powiedziała, że jej się to bardzo podobało. Pierwszy raz ktoś ją w rękę pocałował". A to była Condoleezza Rice. I otóż ta piękna dziewczyna, zawsze taka elegancka była tam szefową. Tam też poznałem Dana Frieda późniejszego ambasadora [w Polsce]. Który teraz też przyjechał, nasz stary przyjaciel, jako przedstawiciel rządu, żeby się dowiedzieć, co tu się dzieje pod obecnymi rządami. Dan wtedy był tam ważnym człowiekiem, ale szefową była Condee. I to, że ja ją pocałowałem w rękę, to potem zaowocowało też taką anegdotką. Ja się z nią oczywiście potem nie widziałem, ale Dan mi mówił, że zawsze jak rozmawiali o Europie Środkowej, to ona mnie wspominała, pamiętała mnie. I dostała ode mnie jeden z tych znaczków w prezencie. Przysłała mi serdeczne pozdrowienia i też o tym wspomniała. Chyba nadal byłem jedynym, który ją pocałował w rękę. Potem polecieliśmy do Bostonu. Tam też mieliśmy różne spotkania, na przykład ze [Stanisławem] Barańczakiem, który wtedy tam wykładał na Harwardzie. Na Harwardzie mieliśmy spotkanie z szefem instytutu ukraińskiego – tu też taka anegdotka – on mówi, że za chwilę przyjdzie Ukrainiec, specjalista, który tu się zajmuje Ukrainą. Dobrze, czekamy. Myśmy się spodziewali jakiegoś atamana, a tu kto wchodzi? Wesoły, fajny facet. Kompletnie czarny. Oni wiedzieli, że to zrobi na nas wrażenie, sami się śmieli. Cała Ameryka! Mieliśmy tam też takie bardzo fascynujące rozmowy nie tylko o Polsce, ale też o Ukrainie. Opowiadaliśmy, co wiemy na ten temat, dlaczego to dla nas też jest ważne. Z Bostonu polecieliśmy do San Francisco. A tam mieliśmy najważniejsze spotkanie z Polonią. Wszędzie, oczywiście, Polska, zmiany, Europa Środkowowschodnia. W Stanford poszliśmy do księgarni. I rozmawialiśmy po polsku. Ja nie czytałem jeszcze wtedy po angielsku, a Grzesiek tak. On politolog taki, amerykanista, w telewizji czasami go widać, jak o Ameryce mówi. I jakaś dziewczyna się tak nam przysłuchuje, podeszła. Całkiem dobrze po polsku mówiła, pyta: „Panowie są z Polski? Teraz przyjechaliście? Bo ja tutaj wykładam na Stanfordzie. Ale chce pojechać do Polski na stypendium i chcę się Polską zajmować i w ogóle Europą Środkowowschodnią". Bardzo śmy się ucieszyli, oczywiście zaprosiliśmy ją, daliśmy do siebie kontakty. Powiedzieliśmy, że umożliwimy jej wszystkie kontakty, poznanie ludzi, bo wszystkich

znamy z opozycji. Za chwileczkę, być może, z władzy, bo to już był Okrągły Stół. Długo żeśmy rozmawiali i rzeczywiście, przyjechała do Polski, zadzwoniła. Pootwieraliśmy jej wszystkie drzwi. To było to pierwsze spotkanie. Kompletnie przypadkowe, w księgarni. A drugie było na plaży. Byliśmy w AFL-CIO, największym amerykańskim związku zawodowym, który zawsze Solidarności pomagał. Rzeczywiście był zaangażowany. Szliśmy ze tymi znaczkami Solidarności na tej plaży, a tam była cala grupa studentów, młodzieży takiej zwariowanej. Wygłupiali się, a jak zobaczyli te znaczki, wołali: „Solidarność! Wałęsa!" I to w Kalifornii, na plaży. Ameryka! To pokazuje jaka była reakcja, jak ta Solidarność i oczywiście Wałęsa się kojarzył. A teraz niszczymy ten mit. Albo niektórzy niszczą. To pokazuje głupotę, po prostu. Ja wielokrotnie się o tym przekonałem, jaka jest jego siła. I to zawsze było związane z Polską. Z Solidarnością i z Polską. Tak to było. W Las Vegas, w Nowym Jorku tam wszędzie mieliśmy spotkania, z Polonią też. A jeszcze wcześniej w Chicago, tam mieliśmy tylko spotkanie z Polonią. Ja, znaczy, miałem. Z kolegami. To nie były przyjemne spotkania. Po pierwsze, że tutaj nagle przylecieliśmy. Jakby mieli pretensje, że się zmienia i oni już tu nie mają nic do roboty. Chociaż moi koledzy wywiali stąd, po prostu. Niektórzy podpisali coś i od razu wyjechali. I nagle okazało się, że ja jestem dla nich największym problemem. Bo to byli tacy, co mieli takie pomysły, że oni będą krew przelewać. Wtedy oni będą tutaj znani. Będą pieniądze płynęły. I to po prostu było tak podłe. Mieli do nas pretensje, że my nie robimy rewolucji, tylko jakieś tu rozmowy z komuchami [prowadzimy]. To po prostu było podłe. Zwyczajnie. Bo oni chcieli to zrobić rękami tych, którzy tutaj byli, żeby ci zginęli, a oni tam wtedy będą „bohaterami dnia". To było nieprzyjemne. A jeden z kolegów, to się ze mną nie przywitał, mimo, żeśmy się widzieli ostatni raz w grudniu. A krzykacz był i pierwszy schrzanił z Polski. Ale przeprosił mnie po latach. To jeszcze jedno muszę mu przyznać, że mnie przeprosił, publicznie. Ja przyjeżdżam, dopiero wyszedłem z więzienia – bo przecież ja siedziałem w więzieniu, w 1988 roku w sierpniu mnie wsadzili. A on mi tutaj pokazuje bohaterstwo, chociaż jeden z pierwszych uciekł. Ale oczywiście, nie z wszystkimi Polakami tak było. Potem polecieliśmy, już bardzie tak turystycznie, do Memphis. Z Chicago, gdzie był mróz, wiatr i śnieg polecieliśmy do Memphis, gdzie była wiosna. Dwadzieścia pięć stopni. Jackson, Memphis. To były miasta takie trochę inne, niż te normalnie amerykańskie. Tam nie było wieżowców, chodząc tam czułem się jak w Radości, w Falenicy, Międzylesiu. To właśnie te klimaty. Oczywiście chodziliśmy do klubów jazzowych i folkowych. I pamiętam, w takim jednym klubie, sporo ludzi, stali, siedzieli przy barach. Trochę tych stolików było, a jeden był dla nas zarezerwowany. I siedzimy sobie tam, chyba we czterech, oni zaczynają grać. Głównie czarni. Grają, grają i potem pytają ludzi: „Skąd jesteście?" – „Z Ohio" –„Z Kalifornii". Dochodzą do nas: „A wy skąd jesteście?". My mówimy: „Poland". –„What?".– „Poland". –„Oh, Solidarity". I zrobiło się strasznie miło, bili nam brawo. Byliśmy tam bohaterami wieczoru. Potem polecieliśmy do Nowego Jorku. To był ten bardzo trudny czas, kiedy Nowy Jork

właściwie bankrutował. Jeździł z nami wynajęty przez USAA Chris Bezanowski, dziennikarz i felietonista Radia Wolna Europa, znany dość – ci, którzy słuchali, to dobrze go znali. Nowy Jork wyglądał na miasto upadłe. Dopiero potem przyszedł Gulliani i zrobiła się rewolucja, zaczęło się zmieniać rzeczywiście. Tam najważniejszym naszym spotkaniem było spotkanie, zresztą niejedno, z Jerzym Kosińskim. Myśmy zostali przez niego zaproszeni do domu, byliśmy tam u niego. Pamiętam, mniej więcej, jak wyglądało to jego mieszkanie. To nie było takie mieszkanie wielkiego bogacza. Ono było eleganckie, fajnie wyposażone. Z dużą, bardzo dużą ilością zdjęć. Bo jego żona, zresztą Węgierka, robiła bardzo dużo zdjęć. Nam też zrobiła zdjęcia. Ona tam była, ale się nie wtrącała, siedzieliśmy wyłącznie z Jerzym Kosińskim. Ona była taką jego menedżerką. Wszystkim, tam była. Wszyscy byli ciekawi, oczywiście, co tu się stanie, co się może stać i w ogóle, jak my to oceniamy. Było widać wielkie zainteresowanie, co się u innych będzie dziać. Bo wszyscy mieli świadomość tego, że Polska będzie o wiele bezpieczniejsza, jak „walnie" tam i tam też się zacznie zmieniać. Poprosiłem o jego książkę. Dostałem po angielsku „Malowanego ptaka" z wpisem dla mnie. I on mi zrobił własny portret w niej, narysował mi w tej książce swój portret. Tak, że mam taką pamiątkę po tym, żeśmy się spotkali. Mieliśmy potem oczywiście różne spotkania też z Polonią, z dziennikarzami polonijnymi – to były bardzo, bardzo fajne spotkania. Natomiast później, wieczorem Kosiński nas zaprosił na kolacje i tam poznałem Ule Dudziak. Bo oni w tym czasie ze sobą byli. I z Ulą to się do dzisiaj znamy. Zresztą, ona ma zdjęcie z tego naszego spotkania pierwszego, obiecała, że mi je da i tak ciągle mi je daje. Ona ma tych zdjęć pewnie dużo, nie wierzę, że je odgrzebie. Ciągle zaganiana. Jak to Ulka. Ale tam żeśmy się wtedy spotkali, mieliśmy wspólnie długie Polaków rozmowy przy dobrym obiedzie. Jak [Kosiński] przyjechał tu pierwszy raz do Polski, to ja go zaprosiłem do „Ursusa". Jako przewodniczący Solidarności. Jako Solidarność żeśmy go zaprosili do „Ursusa". Co ciekawe, on miał kontakty z biznesmenami i nawet jakieś plany biznesowe. Przyjechał z grupą biznesmenów amerykańskich, przywiózł ich do Ursusa i były rozmowy o tym, jak tutaj inwestować. Nic z tego nie wyszło, ponieważ ja odszedłem. No, a to trzeba było to ciągnąć. Zostałem posłem i po prostu już się zajmowałem innymi rzeczami. Tu były nowe władze. Już nie byli zaineresowani. Nie umieli. Nie mieli tej otwartości. Już zaczęło się to wszystko zamykać, zaczęła panować inna mentalność, niż za moich czasów. Bo ja, jak wróciłem, to miałem taką komisję, grupę ludzi, młodych menedżerów, których wysyłałem na przykład do Szwecji. Tam, gdzie były restrukturyzacje zakładów. Jak to zmieniać, żeby to utrzymać? A oni już nie byli zainteresowani taką działalnością i się skończyło to bankructwem „Ursusa" w końcu. Natomiast Jerzy Kosiński chciał rzeczywiście tutaj się angażować. Bardzo był zainteresowany. Nawet nie to, że on chciał zarabiać na tym. Tyko po prostu on chciał coś dla Polski zrobić. Bardzo był rzeczywiście nastawiony pozytywnie i cieszył się z tych zmian. On jako pisarz był ciekawym człowiekiem i świetnie opowiadał. Na tych spotkaniach miał słowotok, ale

ciekawy słowotok. Cały czas mówił tak nerwowo bardzo, ale to były bardzo ciekawe rozmowy. Natomiast, jest jedna rzecz, którą zapamiętałem dosłownie w szczegółach. Mianowicie jego łazienkę. Do dzisiaj nie rozumiem, dlaczego. A to jest ta łazienka, w której on popełnił samobójstwo. Tam, gdzie sobie obwiązał głowę tym workiem. W tej wannie. Ja ją zapamiętałem. I ja ją mam w ogóle w oczach. Dlaczego ja ją zapamiętałem? To jest pytanie. Przypadek? Nie przypadek? Ale właśnie łazienkę zapamiętałem. Dużo bardziej szczegółowo, niż pokój na przykład. I to mi się zawsze kojarzy z Jerzym Kosińskim. Z tym, jak go poznałem i z tą jego tragiczną śmiercią.

16. Odwiedziny u Czesława Miłosza

Wracam do Kalifornii. Tam najważniejsze spotkanie mieliśmy w domu Miłoszów. Pojechaliśmy do Berkley. On miał piękny dom z taką ścianą całą ze szkła, z widokiem na Golden Gate i na całe San Francisco. Pamiętam, siedzieliśmy tam wiele godzin. Pojechaliśmy w dzień, a wyjechaliśmy jak się zrobiło ciemno. I siedzieliśmy, rozmawialiśmy z Miłoszem. Ja nie piłem wódki, a Grzesiek pił z Miłoszem, bo Miłosz, pierwsze co, to przyniósł na tacy litrową wódkę i śledziki. I śledziki to było jedyne, co podał. I tak aż do wieczora siedzieliśmy. Litr wódki i tyko przy tym śledziku. Oczywiście, Grzesiek się „uwalił", a [Miłosz], kawał chłopa, Litwina, w ogóle nie było po nim widać. Ale oczywiście rozmowy były i o Solidarności, i o KOR-ze. Opowiadaliśmy, co się działo i co się dzieje, jakie są zmiany. Był niesłychanie zainteresowany. A ciekawe było to, że kiedy poprosiliśmy o spotkanie z Miłoszem, dosłownie za godzinkę dostajemy [informację], że pan Miłosz nas zaprasza do domu, do siebie. Później w tej fundacji nam powiedzieli, że wielokrotnie różni ludzie prosili [o spotkanie] i zawsze była odmowa ze strony Miłosza. Oni byli sami zdziwieni. Ale on, widać było, świetnie się orientował, kto ja jestem. Opowiadałem mu całą konspirację, na czym to polegało. On miał przecież doświadczenia z wojny i bardzo chciał wiedzieć, jakie były różnice. Jak myśmy myśleli. Jakie rzeczy żeśmy rozwijali. Różnice między nami. On bardzo, widać było, chciał porównać te konspiracje. Dużo czytał, ale to co innego, jak świadek mu wszystko opowiada, jeden z przywódców tego podziemia. Bardzo to było długa rozmowa. I właściwie tylko dlatego [wyszliśmy], że my już byliśmy bardzo zmęczeni. On absolutnie jeszcze chciał pytać. Bardzo był tym zainteresowany. My zresztą też pytaliśmy o wiele rzeczy z jego życia. Więc ta rozmowa była niesłychanie owocna. Wielogodzinna. Nagle się zrobiło ciemno. I zapalił się Golden Gate. Całe San Francisco. A my siedzimy z Miłoszem przy litrowej wódce i śledzikach i gadamy tyle, tyle godzin u niego. To było fascynujące spotkanie. Wtedy dostałem od Miłosza dwie jego książki. W jedną wpisał się dla Petra Pospichala. A w drugą dla mnie. Obaj dostaliśmy [książkę] z jego autografem, bo opowiadałem mu o Czechach, o moim przyjacielu, który się nauczył polskiego bardzo dobrze tylko z polskich książek i z kaset, które ja przemycałem. On do dzisiaj, mówi świetnie po polsku. Ani be, ani me nie znał, a mówi dobrze po polsku i pisze. To było naprawdę pasjonujące spotkanie. I zostało w głowie. I pamiątka została, ta książka z

jego podpisem.

17. Po Okrągłym Stole

Już praktycznie było po Okrągłym Stole. Tam przecież zostało wynegocjowane, że Solidarność wraca. I ja, jako szef Solidarności z 1980-1981 roku od razu, z góry wiedziałem, że ja muszę, niestety, tą przynoszącą mi bardzo dobre pensje pracę zostawić. Dlatego, że ja, jako szef mam obowiązek wrócić. Nikt z moich kolegów z dawnej Solidarności nie wrócił. Ale ja uważałem, że mnie mniej wolno, że ja muszę – po prostu – wrócić. Bo jeśli ta Solidarność ma się odrodzić, to ja, po prostu, mam obowiązek wrócić. Oczywiście, to był zawsze problem, bo zarabiałem coraz więcej i bardzo dobrze zarabiałem. Jak to w prywatnej działalności. Mieliśmy sukcesy finansowe duże. Ale nie było rady, ja po prostu uważałem, że taki jest mój obowiązek. Jak wraca Solidarność, to ja ją muszę odbudować. No i tak się stało. Odbudowywaliśmy tę Solidarność. Szło dużo trudniej, niż w 1980 roku. Nieporównywalnie trudniej. Oczywiście, ona była dużo mniejsza. Nieporównywalnie mniejsza. Ja miałem to porównanie, ponieważ również powoływałem, byłem szefem od początku i budowałem Solidarność w 1980 roku. Więc widziałem, jak to rosło. I widziałem, jak jest tutaj. Już było bardzo dużo u ludzi dystansu. Myślę, że ludzie byli złamani. Przestraszeni tym, co się wtedy stało. I woleli trzymać się z daleka. Bo wszyscy byli przekonani, że nic z tego nie będzie. Że się skończy drugim 13-tym grudnia, a może gorzej. Bo interwencją sowiecką. I to nie było przecież pozbawione sensu. I atmosfera, jeśli chodzi o samą Solidarność już nie była taka. W 1980 roku, zanim jeszcze w ogóle był pierwszy zjazd, mieliśmy czternaście tysięcy członków. Ilość ludzi była podobna jeszcze w 1989 roku. Solidarność się odrodziła. Struktury się odrodziły. Mieliśmy normalną siedzibę w tym samym miejscu, w którym miała poprzednia Solidarność. Oczywiście, ja stałem na czele dotąd, dopóki nie zaczęły się wybory. Ani Władek Frasyniuk, ani Zbyszek Bujak nie startowali, chyba w pierwszych. Bogdan Borusewicz nie startował do Sejmu i ja też nie miałem zamiaru. Ale któregoś dnia telefon. Dzwoni chyba Janek Lityński i mówi: „Słuchaj, jesteś na liście. Musisz startować na posła". Ja mówię: Jasiu, ty się opiłeś czegoś? Ja? Na posła? Czyś Ty zwariował?" Dzisiaj to taki wyścig. Spoceni lecą w tym wyścigu do Sejmu. Wtedy, to się zacząłem pukać w czoło. Ja posłem? Ja się na posła, jak na baletnicę nadaję. Ale Janek mówi: „Słuchaj, nie ma wyjścia. Po prostu, iluś tych głównych działaczy Solidarności musi wystartować". Wałęsa nie startował chyba wtedy też. I mówi: „Wiesz, bo to jest trudna sytuacja. Tu trzeba podejmować ryzyko. No, to kto będzie podejmował, jak nie wy? Działacze z fabryki. Najważniejsi". No i tą metodą zostałem wepchnięty do Sejmu. Tak, że to nie było tak, że ktoś z nas walczył o to. [Dla nas] to po prostu, był obowiązek. Poczucie obowiązku, chociaż głupie to mi się wydawało na początku. Ale jak trzeba, to trzeba. To jak żeśmy zaczęli to robić, to już robiliśmy na pełny zicher. Myśmy robili kampanie przecież w zerowych pieniądzach. Jak zarabiałem jakieś pieniądze, to przeznaczałem je na stworzenie biura wyborczego,

które sam musiałem opłacać. Bo przecież trzeba było samemu kupować papier, różne rzeczy, każdy robił to na własną rękę. Miałem grupę ludzi, którzy mi organizowali spotkania, wiece. Zresztą, cudowne. To był piękny czas. Przychodziło kilkaset osób, Czasami kilka tysięcy. Bardzo piękne to było. Ludzie, radość. Bo przychodzili, oczywiście, ludzie Solidarności i moje [spotkania wyborcze] prowadzili najwybitniejsi aktorzy, którzy zawsze, żeby wprowadzić odpowiedni [nastrój] przygotowywali jakieś teksty, jakieś wiersze, które były à propos. Kończyli też odpowiednią refleksją. Bardzo to fajnie było robione. Ze mną jeździł Janusz Gajos i Daniel Olbrychski, Beata Tyszkiewicz, Ania Seniuk, Marysia Pakulnis z Krzysiem Zalewskim, Krysia Sienkiewicz, [Mieczysław] Voit. Wszystkie najsłynniejsze nazwiska. Jeździł też Reszczyński z „Teleexpresu", dziennikarz. Teraz taki prawicowy ciężko. Ania Radziwiłł, lubiła ze mną jeździć, Trzeciakowski. Bo oni byli małomówni, rzeczywiście, oni by uśpili. A przecież to był wiec. To musiało grać. Więc ja byłem frontmanem, a oni potem [mówili] parę mądrych słów o gospodarce, o oświacie. Ja się na tym nie znalem. Natomiast ja mówiłem o polityce. Ja tu byłem dobry, bo miałem pozytywne nastawienie. Ja się niczego nie boję. Ludzie się bali, a ja mówiłem: „Macie do czynienia ze szczęściarzem. Póki co, mi się wszystko udawało. To może razem ze mną i wam się uda". Przecież jakoś tych ludzi trzeba było tym optymizmem troszeczkę zarazić, żeby chcieli pójść. Żeby chcieli innych przekonywać. Wygrałem te wybory bez żadnego problemu. Miałem chyba drugi wynik w Polsce. Osiemdziesiąt jeden procent głosów oddanych. Troszkę więcej, o ułamek procenta, Rysio Bugaj chyba miał. I wyprowadziłem komunistom też jednego posła. Wiesława Kaczmarka. Późniejszego ministra. Bo Wiesiek Kaczmarek przyszedł do mnie jako przewodniczącego Solidarności. Przyszedł do mnie, przedstawił się, że on startuje z tych partyjnych list, jest studentem młodym z politechniki i startuje przeciwko tym twardogłowym komunistom. Więc oni go wypychają, a on nie ma żadnego poparcia. Nigdzie się nic nie ukaże, bo on stawał przeciwko Łukasiewiczowi, szefowi „Expressu Wieczornego". Takiemu partyjnemu betonowi. Nie mógł na nic liczyć. I myśmy robili mu kampanię. Wygrał z tamtymi. To zawsze wspominał, publicznie mówił. Ja byłem wielokrotnie świadkiem, jak on powiedział: „Zostałem posłem tylko dzięki przewodniczącemu Solidarności w Ursusie. Bo się zaangażował i miał struktury. Miał ludzi. Ludzi przekonał, że warto. Mimo, że startowałem z list PZPR wygrałem z tymi ciężkimi komuchami". Więc różne rzeczy żeśmy wtedy robili. I jest tak, że jestem posłem. Jesteśmy w mniejszości. Ja, były robotnik nie znam żadnego języka, a zostaję członkiem komisji spraw zagranicznych. Bo tam wtedy według innych kryteriów [oceniano]: on się zna na tej Europie, ta część będzie niesłychanie ważna, on ma kontakty, więc ma się tym zajmować. W międzyczasie powołujemy Fundację Solidarności Polsko-Czechosłowackiej i przygotowujemy się do tego, że będziemy już formalnie działać. Amerykański miliarder George Soros powołał Fundację Batorego. Tam był Rysio Stemplowski, późniejszy szef kancelarii Sejmu, Adam Michnik i paru ludzi jeszcze z 1968 roku. I oni wymyślili, że jedynym, który rzeczywiście będzie

umiał coś zorganizować jestem ja. I, że ja mam powołać „Forum Europy Środkowowschodniej" przy Fundacji Batorego, zostać dyrektorem, organizować i ciągnąć to. Było zaplecze finansowe, organizacyjne, była siedziba. Nie chwaląc się, to było dobre posunięcie. Dlatego, że ja rzeczywiście byłem w to zaangażowany. Od początku ściągnąłem odpowiednich ludzi, lepszych ode mnie. Bo ja zawsze miałem taką pewność siebie, że nie bałem się ludzi dużo lepiej wykształconych, dużo lepszych ode mnie. Ja byłem szefem, ale to oni wszystko ciągnęli. Bo oni znali języki, bo oni wszędzie wszystko poorganizowali, dawali mi instrumenty do działania. Dzięki temu ja to mogłem prowadzić. Miałem kontakty odpowiednie, miałem pomoc Jana Nowaka-Jeziorańskiego i Zbigniewa Brzezińskiego. I bardzo szybko przygotowywaliśmy się do tego, że tu się zmieni, a przecież jeszcze komuchy wszędzie prawie byli, mieli struktury. Więc my musieliśmy równoległą polis, równoległe struktury budować. Jeśli chodzi o kontakty międzynarodowe, to ja je budowałem. I jak się zaczęło tutaj sypać, to my byliśmy już przygotowani trochę do tych zmian. Był rząd, oczywiście, Tadeusza Mazowieckiego, ale z udziałem komuchów. Wszędzie, z każdej strony. Choć i oni już zmieniali podejście, już się pojawili tacy, jak Wiesiek Kaczmarek, Kwaśniewski. Bardziej liberalni, otwarci. Oni też zmieniali to swoje środowisko, ale jeszcze w dalszym ciągu mieli [silne] struktury. Przecież prezydentem był Jaruzelski.

18. Podpisy w sprawie sygnatariusza Karty 77

To było jeszcze w latach osiemdziesiątych. Można powiedzieć, nasze wielkie zwycięstwo. Mianowicie, w którymś momencie, Petr Pospichal został aresztowany i wsadzony do więzienia z oskarżenia o współpracę z Polską. Wprost o współpracę z Polską. A to był nasz przyjaciel ze spotkań. Mój przyjaciel. Organizator z tamtej strony. Bardzo ciekawa postać. Dlatego, że Petr w którymś momencie był w ogóle w Czechosłowacji najmłodszym więźniem politycznym. On miał siedemnaście lat, jak dostał pierwszy wyrok. Był drukarzem. Siedział zresztą w jednej celi, w jednym więzieniu z Waszkiem Havlem jako bardzo młody chłopak. A potem był oczywiście, sygnatariuszem „Karty". Wiadomo było, że jest. Bardzo ciekawa postać. Warto byłoby z nim przeprowadzić tego typu rozmowę, przecież był czeskim opozycjonistą, a świetnie mówi po polsku. To byłoby coś wyjątkowego. Nie tylko o styku polsko-czechosłowackim, ale też o tym, jak zmieniała się Czechosłowacja, jak tam się ludzie zmieniali. To może być fascynujące. Ale [na razie] Petr siedzi. Nie możemy przecież tak tego zostawić. Zaczęliśmy organizować różne akcje – we Wrocławiu demonstracje, głodówkę w obronie Petra, my zorganizowaliśmy zbiórkę podpisów w jego obronie. W kościołach, przed kościołami zebraliśmy tysiące podpisów. Ludzie się podpisywali swoimi nazwiskami, imionami. Po czym ja, Janusz Onyszkiewicz i Wojtek Maziarski poszliśmy formalnie, oczywiście mając ze sobą torebki – ręczniki, szczoteczki do zębów i tak dalej, bo wiedzieliśmy, że nas aresztują – do ambasady Czechosłowacji na Koszykowej. Tam dzisiaj też jest czeska ambasada. Poszliśmy

tam z tymi podpisami. Mieliśmy i kopie, ale tu w teczkach były oryginały podpisów. Zadzwoniliśmy, pytają o co chodzi, a my mówimy, że chcemy [rozmawiać] z jakimś urzędnikiem, jesteśmy z Solidarności, mamy podpisy w obronie sygnatariusza „Karty 77" Petra Pospihala, który siedzi w więzieniu. Podpisy Polaków w jego obronie. Buch. Cisza. My tyko czekamy, jak zaraz przyjadą. Czekamy, a to trwało i trwało. Mówię: „Bezpiekę wezwą, przyjedzie i nas zwinie". Ale twardo czekamy. Wreszcie się odzywają i mówią: „Tutaj jest takie [okienko], gdzie można wkładać korespondencje. Prosimy o włożenie tego w to miejsce". My zdziwieni, ale jakoś to wszystko upchnęliśmy, było duże, długie, tak, że te [teczki] A4 tam wchodziły. Upchaliśmy to wszystko i poszliśmy. Trochę rozczarowani, że nas nie zwinęli i nie wsadzili, że w ogóle nie przyjechali. A byliśmy absolutnie przekonani, że przyjadą po nas. I te głodówki, te demonstracje [poskutkowały], wyciągnęliśmy go z więzienia. Petr wyszedł. Mamy nawet takie zdjęcia z głodówki we Wrocławiu: „Uwolnić Petra Pospichala". Woleli nie mieć tego pasztetu. Wypuścili go również dlatego, że mimo, że Petr siedział, jego kurierzy pracowali. I oni nagle się zorientowali, że Petr, którego oskarżyli i wzięli za szefa, siedzi, a to wszystko i tak dalej idzie. Więc doszli do wniosku, że to w ogóle jest bez sensu, bo jeszcze do tego mają tutaj takie rzeczy, jak demonstracje, zbieranie podpisów, głodówki. Wiedzieli, że my będziemy dalej to robić, więc chyba uznali, że jednak lepiej go wypuścić. Wypuścili go bez procesu. To był chyba jedyny taki przypadek.

19. Festiwal Niezależnej Sztuki Czechosłowacji w 1989 roku

Cały czas myślimy, co zrobić. Jak tu nie dać o tych Czechach i Słowakach zapomnieć. I chłopaki z Wrocławia wymyślili wielki festiwal kultury czeskiej i słowackiej w Polsce. Wielki, [festiwal] kultury niezależnej. Robiliśmy to wspólnie, tutaj w Warszawie część rzeczy też przygotowywaliśmy. Część robiliśmy równolegle, na przykład wystawy i różne imprezy z tym związane. Ale wiadomo było, że głównie z Pragi przyjadą do Wrocławia, bo to najłatwiej. Nie przewidzieliśmy tylko jednego: że mimo „zamurowanej" [granicy] to będzie taka masa ludzi, że przyjedzie ich tyle! Tylu młodych ludzi z plecakami. Wrocław w tym czasie stał się właściwie „stolicą" Czechosłowacji. Co ciekawe, ponieważ ich zatrzymywali, oni przyjeżdżali bezwizowo przez Niemcy Wschodnie. Ale przyjechało ich tyle, że zaczął się problem od drugiej strony – gdzie mają [się zatrzymać]? Mieszkańcy Wrocławia spontanicznie się zorganizowali. Każdy udostępniał jakiś pokoje, przecież to młodzi ludzie, nie mieli pieniędzy, ale nie spali na ulicy, tylko oni wszyscy właściwie mieszkali w domach. To było szczególnie ważne. Główne spotkanie odbywało się w teatrze. Nastrój, można powiedzieć, wielkie święto. Śpiewał [Karel] Kryl, [Jaroslav] Hutka. Po raz pierwszy na żywo słyszą tych swoich bardów, których słyszeli tylko na kasetach albo przez „Wolną Europę". Trudno sobie dzisiaj wyobrazić atmosferę, jaka tam panowała. My byliśmy absolutnie przekonani, że oni stamtąd pojadą i od razu zaczną rewolucję. I dokładnie tak się stało. Ja to mam nawet na piśmie, bo Waszek napisał do mnie list.

W rocznice tego festiwalu napisał, już jako prezydent, że to było preludium do „Aksamitnej Rewolucji". Więc to pokazuje, jaka była waga tego [wydarzenia]. Myśmy to widzieli. Ci ludzie wychodzili stamtąd i z takim przesłaniem wracali: my chcemy wolności. My chcemy, [żeby było] tak, jak tu. To był już październik. To dosłownie było preludium. Po czym, przyjechała grupa, chyba czterech tych najbardziej znanych opozycjonistów z zagranicy, miedzy innymi [Pavel] Tigrid i [Karel] Schwarzenberg, którzy te główne wydawnictwa po czesku prowadzili za granicą. W międzyczasie umówiłem ich na spotkanie z profesorem Skubiszewskim. Na obiad właściwie, w „Baszcie" na Puławskiej. To była wtedy taka słynna restauracja w Warszawie. Rozmawiali bardzo długo. Profesor [Skubiszewski] był przecież ministrem spraw zagranicznych, pytał, jak oni oceniają [sytuację]. A oni mówili, mimo wszystko: „U was jest wolność. Ale w Czechosłowacji nie będzie jeszcze latami". A dosłownie za dwa tygodnie już było po komunistach. I to pokazywało, jak oni nie mieli wiary w to. A myśmy tłumaczyli, że to już za chwileczkę [się stanie]. Że to, że tutaj jest rząd Mazowieckiego to im też pomaga. To, że u nas komuniści nie wiszą, to im umożliwi zmiany pokojowe. Bo władza będzie wiedziała, że jak zacznie strzelać, to po prostu ich rozszarpią. A jeśli nie, to po prostu odejdą i nic nie stanie. To pokazywało jakby dalekowzroczność tych zmian w Polsce. Bo nie chodziło tylko o Polskę. To chodziło o cały region. Bo mogło pójść jeszcze bardzo różnie. Przecież tam komuniści byli o wiele mocniejsi, niż tutaj, mieli lepszą gospodarkę i to mogło jeszcze nie wiadomo ile trwać. Natomiast to, co się działo w Polsce zachęcało ludzi [do zmiany]. Ale też zachęcało do tego, żeby pokojowo oddawać władzę. Więc to preludium, po prostu, było wielkim sukcesem. Mam takie piękne zdjęcie z Adamem Michnikiem i Agnieszką Holland właśnie z tego festiwalu. Wtedy poznałem Agnieszkę bezpośrednio. A przecież ona siedziała w czechosłowackim więzieniu, w1968 roku kończyła tam filmówkę. W każdym razie to polityczne spotkanie z ministrem Skubiszewskim też było ważne. Za chwileczkę Tigrid został ministrem kultury. A tutaj to chyba on był najbardziej sceptyczny i pełen obaw. I braku wiary w to, że w Czechosłowacji coś [może się wydarzyć]. Że to jednak inny naród, inna mentalność. A myśmy przekonywali, że na odwrót. I okazało sie, że znowu myśmy mieli racje. Oczywiście, jak tyko wybuchła „Aksamitna Rewolucja" i okazało się, że Waszek został prezydentem, to trzeba było myśleć, jak im tu dalej pomagać. Bo oni byli na początku [drogi]. My już byliśmy zaawansowani bardziej, chociaż mieliśmy komunistę prezydenta, a oni już mieli wolnego człowieka. Więc można powiedzieć, że to oni jakby nas wyprzedzili. Przecież bardzo szybko mieli wybory, całkowicie wolny parlament i prezydenta Havla. Pierwsza nasza akcja, którą Mirek i ja organizowaliśmy, to był list od Solidarności. Mirek w tym sensie, że on pojechał tam, a ja w tym sensie, że byłem w OKP i przygotowywałem list. Na miał się odbyć wielki wiec. Przygotowałem list na papierze z [logo] Solidarności, podpisał go Lech Wałęsa, który był akurat na posiedzeniu OKP w sejmie. Mirek na to czekał, wsiadł od razu w samochód, czy w pociąg i pojechał do Pragi z tym listem od Wałęsy. I na tym wielkim

wiecu na odczytał ten list od Wałęsy, od Solidarności. Były dwa [egzemplarze] tego listu i Lech na obu się podpisał. Ja jeden schowałem i jest w oryginale w Ossolineum, zresztą wszystkie te oryginały moje i listy od Waszka, to wszystko jest w Ossolineum. Cały zbiór tego, co miałem. Wszystko pozbierałem i zawiozłem. [Ten list] to był pierwszy taki sygnał, że my pamiętamy. Że dla nas to też jest wielkie święto. Cały czas obserwowaliśmy oczywiście, co się tam dzieje. Kiedy Waszek został prezydentem, jego pierwsza wizyta miała być w Niemczech, druga w Polsce, a trzecia na Węgrzech. Ta polska i węgierska była połączona. Mówię o tym dlatego, że to miało potem daleko idące konsekwencje. Również polityczne. Dostaję telefon z zamku – albo Petr dzwonił, albo Saša Vondra, że prezydent chce przyjechać do Polski. Ale niestety, w Polsce jest, co prawda rząd Mazowieckiego, ale on przyjeżdża formalnie na zaproszenie prezydenta, czyli Jaruzelskiego. I cała kancelaria [prezydenta] to są komuniści. W jego ambasadzie są wyłącznie komuniści, a ambasadorem jest jeden z najbardziej tępych żołdaków komunistycznych. Były minister oświaty, najbardziej tępy komuch. I Waszek się boi po prostu, że to w ogóle będzie jakiś skandal. A bardzo chce do Polski przyjechać. Jeszcze wcześniej, zanim przyjechał Waszek, to z taką misją, jak gdyby przygotowawczą, przyjechał Irka Dientsbier, który był wicepremierem i ministrem spraw zagranicznych. Co ciekawe, mianowali go ministrem spraw zagranicznych, wicepremierem w rządzie Čalfy . I zanim pojechał do siebie do ministerstwa, to musiał najpierw pojechać do kotłowni, gdzie pracował i napalić w piecu. I prosto z kotłowni pojechał do ministerstwa objąć posadę ministra spraw zagranicznych. To pokazuje w ogóle cały ten anturaż tej polityki. To tak, jak Janusz Onyszkiewicz został ministrem obrony narodowej. Przyjechał do Sejmu na rowerze i odjechał do ministerstwa. W bagażniku borowców leżał rower, a oni go zawieźli do ministerstwa. To pokazuje, jakie jeszcze wtedy były historie. I tak samo było właśnie z Irką Dientsbierem. Na samym początku ja i Adam żeśmy go tutaj witali. Wtedy się mówiło, że to będzie w ogóle konfederacja polsko-czechosłowacka. I okazało sie, że oni się obawiają tej wizyty. W efekcie ja zostałem delegowany do przygotowywania wizyty Havla w Polsce. Ze strony Czechów, a byłem posłem polskiego parlamentu. Poleciałem oczywiście do Pragi. Omawiałem tę wizytę cały czas z tymi moimi przyjaciółmi, byłem w kontakcie. Tutaj w Polsce, można powiedzieć, formalnie siedziałem po stronie przedstawicieli prezydenta Havla. Dlatego, że brałem udział w tych wszystkich naradach w pałacu prezydenckim, również z borowcami. Patrzyłem, co oni tam wymyślają, cały czas będąc w kontakcie z Bronkiem Geremkiem. Cały czas żeśmy układali, jak to ma być. Wiadomo było, że jest ileś formalnych rzeczy, które muszą się odbyć. Grób Nieznanego Żołnierza, spotkanie z prezydentem, wiadomo. Ale jak to będzie? Jak długo? W jaki to sposób? Poszedłem do Bronka, mówię, że jest jedyna okazja, żeby Havel przemówił do całego polskiego Sejmu. I rzeczywiście, prezydent Havel wystąpił z mównicy polskiego parlamentu. Była pełniusieńka sala, i senatorowie, i posłowie. A przemawiał ten, dopiero co dysydent, niedawno jeszcze siedzący w więzieniu. Przemawiał do

pełnego parlamentu. I tylko mogę powiedzieć, że o tyle mnie tutaj zaszczyt kopnął, że nas czterech po imieniu, po nazwisku wymienił w czasie tego przemówienia: Adama Michnika, Janka Lityńskiego, mnie i Mirka Jasińskiego. Jako przyjaciół z gór, z Czechosłowacji i współpracy polsko-czechosłowackiej, jako takich bardzo ważnych dla tych stosunków. Ale zrobił się problem. Mianowicie taki, że Wałęsa nie chciał przylecieć do Warszawy na spotkanie z Havlem. A Havel mógł być tylko do jakiejś godziny, ponieważ wylatywał na Węgry. Już było wszystko uzgodnione z Węgrami. I musiał o tej godzinie wystartować, żeby [zdążyć]. Próbowaliśmy znaleźć czas między tymi oficjalnymi spotkaniami i wystąpieniem w Sejmie, żeby mógł pojechać na lotnisko, wsiąść w samolot, dolecieć do Gdańska, spotkać się z Wałęsą i stamtąd [polecieć] na Węgry. Nie dawało się w żaden sposób tego spiąć. I była prośba do Wałęsy: „Przyjedź". Nie. To do Wałęsy trzeba było polecieć. Uparł sie. I stąd potem wzięło się to, że zaczęto dyskutować, że jest jakiś konflikt między Wałęsą i Havlem. Że Wałęsa, zazdrości Havlowi, że on pierwszy prezydentem został. Że się „mury" różne budują. Zaczęła się taka bardzo nieprzyjemna, poważna już dyskusja polityczna, bo do tego spotkania nie doszło. Ale ja wiedziałem, dlaczego. Widziałem, że Waszek chciał. Próbowaliśmy to wszystko pospinać. Ni cholery się nie dawało. A Wałęsa: „Nie". I już. W ten sposób nie doszło do tego pierwszego ich spotkania. I z tego się zrobiła, rzeczywiście, zadyma. Taka polityczna i prasowa. Taka nieprzyjemna. Ale sama wizyta Waszka była niesłychanym sukcesem. Bo on był bardzo nieśmiały z jednej strony, ale z drugiej strony to był intelektualista. To był ktoś, u kogo każde słowo ważyło. Był jeszcze jeden ciekawy moment. W Teatrze Powszechnym wówczas wystawiono, zresztą już w czasie Okrągłego Stołu wystawiano, sztukę Havla. Waszek – to było bardzo krótko, bo czasu było bardzo mało – po prostu wpadł do tego teatru. To taka znana bardzo jego sztuka, dzieje się w piwiarni, gdzie jest tylko stolik i, jak Waszek tam przyjechał, to postawili mu piwo. On siadł przy tym [stoliku], wypił kufel piwa na tej scenie. Ale bez widowni, bo to było w dzień, a grali dopiero wieczorem. To była słynna taka sprawa. Że prezydent piwo wypił. Jeszcze jedna rzecz jest ważna. Pamiętam, mówię do niego: „Waszku, teraz to będzie coraz więcej różnych spotkań. Ty masz tego ambasadora tutaj twardogłowego komunistę. Musisz coś zrobić, żeby tu przyjechał jakiś przyjaciel". On mówi: „No, tak. Rzeczywiście. Ale kto, waszym zdaniem, by tutaj mógł?". My mówimy: „Hanka Šabatová . – „Nie, Hanka się nie ruszy". – „Może Markéta Fialková?" –„O! Rzeczywiście Marketka". Bardzo szybko to załatwili. Markéta do nas przyjechała, zresztą, córka bardzo słynnej działaczki, aktorki, śpiewaczki Němcovej. Była przez parę lat tutaj w Polsce, najpierw ambasadorem Czechosłowacji, potem Czech. Bardzo byliśmy bardzo zaprzyjaźnieni z Przemkiem, jej mężem. Spędzała z nami Wigilie. I od razu zaczęło się inaczej, ona była już z zupełnie innego nadania. A nie miała wyższego wykształcenia, dopiero później kończyła [studia]. Petr też nie ma wyższego wykształcenia. Petr jest drukarzem On ma „życiowe" wyższe. Ale po prostu oni tam nie mogli kończyć studiów. Jak ktoś [zdążył] wcześniej, to miał. Ale jak ktoś

był dysydentem, to nie było mowy, żeby [dostał się] na uniwersytet. Znają po kilka języków, ale studiów nie mają. Potem tradycja była taka, że jak Waszek przyjeżdżał, to zawsze był zarezerwowany czas na prywatne spotkanie z dawnymi przyjaciółmi. Zawsze. Jak przyjeżdżał jako prezydent, zawsze mieliśmy takie spotkanie. I my, jak żeśmy tam jeździli, też zawsze żeśmy się z nim spotykali. Jak była tylko okazja.

20. Spotkanie prezydentów - Lecha Wałęsy i Vaclava Havla

Waszek wtedy oczywiście poleciał na Węgry. Ale rozpętała się ta cała dyskusja taka polityczna, że jest konflikt między Wałęsą i Havlem. Ja od razu powiedziałem: „Trzeba to szybko zasypać". I zadzwoniłem do moich przyjaciół w Gdańsku. Wtedy chyba do Bogdana Lisa albo do Krzyśka Pusza i mówię: „Namówcie Wałęsę, żeby przyjął mnie i kolegów z Solidarności Polsko-Czechosłowackiej. Kurierów, organizatorów. Chcemy się spotkać i porozmawiać o wizycie Havla". Oni nawet nie musieli specjalnie Wałęsy namawiać. Ściągnąłem Mirka Jasińskiego i tych ludzi, którzy byli zaangażowani, bo chciałem też, żeby to miało odpowiednią siłę argumentu historii. Pojechaliśmy do Gdańska, do Lecha. Mój przekaz był taki, że tu są ludzie, którzy cale lata chodzili w góry. Ryzykowali. Dzisiaj pisze się, że już jest tu konflikt, że jeszcze nie zaczęliśmy budować porozumienia, a już się wdał konflikt". Mówiłem, że mogę udowodnić, że przy przygotowywaniach [wizyty] naprawdę nie dało się tego spotkania nigdzie wcisnąć. Że Waszek, cały czas chciał się spotkać. Mówię: „Lechu, to chyba najgorszy jego stres był, że on nie może się z Tobą spotkać. A Ty nie chciałeś przylecieć. Zobacz, co tu się dzieje. Co tutaj piszą. Jakie głupoty, że ty zazdrościsz". On mówi: „To wcale tak nie jest, głupoty piszą". Ja mówię: „I będą tak pisać. To co zrobimy, spotkasz się z Havlem?" Mówie, że mamy taki pomysł, żeby się spotkali tam, gdzie myśmy w tamtych czasach się spotykali. Gdzie, z oczywistych powodów, on nigdy nie mógł być. I, że zorganizuje to Solidarność Polsko-Czesko-Słowacka. Zgodził się absolutnie bez żadnego problemu. –„Pewno, że polecę. Tylko jest kwestia czasu". Krzysiek Pusz wskazał ze trzy terminy, kiedy to spotkanie mogłoby się odbyć. Oczywiście, jak przyjechaliśmy do Warszawy, zadzwoniłem na Hrad. Znowu, albo do Petra, albo do Saszy Vondry i mówię: „Lech wyznaczył trzy dni, kiedy on może. Teraz jest pytanie, czy Waszek może?". Bo ja wcześniej miałem sygnał, że oczywiście, jeśli będzie taka potrzeba, to Waszek absolutnie przyleci i spotka się z Wałęsą. Sprawdzili to chyba w piętnaście minut. Po piętnastu minutach mówi: „Słuchaj, Waszek proponuje ten termin". To ja tego samego dnia [zadzwoniłem] do Gdańska. Termin zarezerwowany. Potem były, oczywiście, służby państwowe włączone, wiadomo – tam prezydent, tutaj prawie prezydent. Tytularny, ale praktycznie, prezydent. Ale była to inicjatywa Solidarności Polsko-Czechosłowackiej. Z tamtej strony dostaliśmy informacje, że Waszek przyleci bezpośrednio helikopterem, siądzie tam po stronie czechosłowackiej na Snieżce. Sprawdziliśmy, że po polskiej stronie też jest miejsce, więc załatwiliśmy, że i Wałęsa helikopterem poleci. Bo jak to – tamten [helikopterem], a ten, samochodem?

Wiadomo, że zaraz by były znowu jakieś dyskusje. I są zdjęcia, jak stoją oba te wielkie helikoptery. Jeden, po jednej stronie, drugi, po drugiej stronie granicy. Była olbrzymia ilość ludzi. Wałęsa wysiada, idzie z nami, po drugiej stronie Waszek. I jest taka ilość ludzi, że oni próbują na siebie trafić. Chodzą, szukają się w tym tłumie. I nikt nie wie, gdzie, który jest. I kompletnie przypadkowo w końcu się odnajdują, spotykają. Wtedy to jeszcze było możliwe. Dzisiaj, to by to obstawili. A tu między tymi tłumami chodzili, szukali się i wreszcie trafili na siebie. Zjedliśmy obiad w schronisku, były też takie rozmowy, nie w cztery oczy, ale takie osobiste. Jest takie zdjęcie, gdzie obaj stoją i trzymają „V". To tam [było zrobione]. Poleciałem potem do Pragi. Oczywiście wcześniej uzgodniłem i z jednymi, i z drugimi, Sasa Vondra zawiózł mnie do letniej siedziby prezydentów, bo tam właśnie akurat był Waszek. To była taka siedziba letnia prezydentów jeszcze sprzed wojny. Ładny, duży pałac. Chwilę poczekałem z Sašą, bo jakaś delegacja zagraniczna była u Waszka. Jak skończyli, Waszek wyleciał i mnie uściskał –„Chodź, chodź. Będziemy gadać" . Idę, a tam u niego w mieszkaniu siedzi premier Čalfa , wicepremier, minister spraw zagranicznych Irka Dientsbier, Waszek, Sasza, to jest taki główny minister w zamku i ja. On z całym rządem i ja jeden z Polski. Jesteśmy w mieszkaniu, tym prywatnym, siedzimy i rozmawiamy o tym, że trzeba by było jakieś wspólne oświadczenie przygotować. Rozmawiamy o tym, siedzimy w takim gronie. Ja siedzę z głównymi ludźmi [w państwie]: prezydentem, premierem, ministrem spraw zagranicznych. Ja sam w imieniu Wałęsy. Waszek mówi: „Słuchaj, ja napiszę to tak, jak ja to uważam. Ktoś to przetłumaczy. Jak Wałęsa będzie miał jakieś [uwagi] do tego, to uzgodnicie tylko. Przygotujesz to". Mówię: „Dobra, tak robimy. A oświadczenie dla Wałęsy, będzie w języku polskim". –„Dobra, niech będzie w polskim. Nie ma problemu ". On to napisał, ja to zabrałem. Na wszelki wypadek z drugiej strony napisałem, którego dnia i gdzie było to napisane przez Havla. Przywiozłem do Polski, któryś z tłumaczy to przetłumaczył. Oczywiście duże zmiany były uzgodnione z Wałęsą. Ja to wszystko przygotowałem i uzgodniona wersja oświadczenia została podpisana w dwóch egzemplarzach. Podpisali: Lech Wałęsa, Vaclav Havel. Jeden egzemplarz zabrał Waszek. Drugi ja wziąłem, schowałem do teczki. Bo tak to by już zginął. I oczywiście, ten oryginał też jest w Ossolineum. W tym moim, że tak powiem, archiwum. Oryginał napisany ręcznie przez Havla i oryginał [uzgodnionego oświadczenia] podpisany przez nich. To jest pod moim nazwiskiem, bo byłem, można powiedzieć, twórcą tego [dokumentu]. I ja też miałem ten oryginał przez nich podpisany. Spotkanie się odbyło. Bardzo się polubili, co miało potem bardzo poważne konsekwencje w ich stosunkach wtedy, kiedy Czechosłowacja się rozpadła. To dla Waszka była wielka tragedia osobista. Można to sobie wyobrazić. Przestał być prezydentem Czechosłowacji, a jeszcze nie był prezydentem Czech. To było dla niego trudne psychicznie, bo był przeciwny rozpadowi Czechosłowacji. I wówczas Wałęsa, to z jego inicjatywy było, zaprosił Havla na taki dwutygodniowy wypoczynek w Polsce. W pałacu prezydenckim w Otwocku. Żeby Waszek mógł sobie posiedzieć,

napisać coś. Żeby mógł odpocząć. Prywatnie zaprosił go tutaj, do Polski. Waszek przyjechał i oczywiście telefon z ambasady od Marketki: „Waszek chce was zaprosić na piwo. Jest w Otwocku”. Zacząłem zbierać tych wszystkich ludzi, obdzwaniać wszystkich, Marketka do mnie dzwoni: „A może byś panią premier namówił, żeby przyjechała?”. Wtedy Hanka Suchocka była premierem, zadzwoniłem, mówię: „Haniu, może być z nami pojechała do Otwocka wiem, że on bardzo by chciał, żebyś przyjechała”. I pojechała tam z nami. Siedzieliśmy w tym pałacu bardzo długo i w bardzo fajnym towarzystwie. A najciekawsze z tego wszystkiego było, że już tak właściwe porwało się między nami i Wałęsą i ta grupa ludzi, która tam była w dużej części nie rozmawiała ze sobą od długiego czasu. Ale jak Havel przyjechał, to przyszedł Wałęsa i Adam Michnik, i Jacek Kuroń, i Janusz Onyszkiewicz z żoną i Hanka była. I rozmawiali po raz pierwszy po tych pyskówach różnych. Wałęsa bardzo długo z nami został i rozmawiał wtedy. Przełamały się lody i znowu katalizatorem był Waszek Havel. Ale jednocześnie myśmy nie dopuścili do takiego narośnięcia osobistych urazów i to po prostu, się przełamało. I to też była inicjatywa Solidarności Polsko-Czechosłowackiej. Więc było ileś tego typu dokonań.

21. Bratnia pomoc. Działalność Forum Europy Środkowo-Wschodniej

Na początku była taka wielka akcja pomocy naszym przyjaciołom w różnych krajach w różnych sposób. Myśmy przygotowali to albo przez Solidarność Polsko-Czechosłowacką, albo przez „Forum Europy Środkowowschodniej”. Zaczęliśmy przygotowywać takie programy pomocy dla nowych ruchów politycznych w tej części Europy, żeby oni się lepiej zorganizowali. Bo to władza miała drukarnie, to władza miała nowoczesne rzeczy. A to były takie grupy niezorganizowane, które prawie niczego nie miały. Ja szybciutko napisałem taki program dla NED-u. Że my chcemy tutaj w Polsce przygotować drukarnie. A ponieważ mamy ludzi, którzy drukowali w podziemiu, znają się na tym, wiedzą jak to trzeba zrobić, a w tej chwili nie mają zajęcia, to przy ich pomocy i przy naszych kontaktach przygotujemy gotowe drukarnie z całym wyposażeniem tym ruchom demokratycznym, które się wyzwalają. Żeby mieli swoje, żeby mogli szybko wydrukować swoje odezwy i trafić do ludzi, bo tam jeszcze często władza komunistyczna blokowała [takie działania]. I dostałem na to pieniądze. Bardzo szybko przyszły. Teraz trzeba było zorganizować maszyny. Najlepsze maszyny wtedy tutaj, w tych naszych krajach produkował „Romayor”. Czeska firma. Ale te maszyny wtedy, na samym początku, jak ja to zacząłem organizować, to trzeba było przemycać przez granicę. Zorganizowałem tu całą grupę odważnych ludzi, którzy to normalnie przemycali przez granice. Łapówkami. Różnie. Przecież to samochód ciężarowy jechał. Z drukarnią, z papierem, z farbą. I trzeba było łapówki dawać, żeby przejechać przez granice. Mimo, że u nas już było po zmianach. Ale tam przecież cały czas były komunistyczne kraje. Trochę rzeczy żeśmy dla Litwy szykowali, ale przede wszystkim dla Ukraińców, dla Bułgarów. Bo wtedy tam powstawały najszybciej te ruchy demokratyczne. Zadzwoniłem do Havla, że my

potrzebujemy tych maszyn natychmiast. Że to jest potrzebne dla naszych przyjaciół w innych krajach, który próbują te ruchy budować. I po osobistej interwencji Havla cztery „Romayory" przyjechały do nas zapakowane w pudła. Zapłacone z pieniędzy amerykańskich. U nas były szykowane przez tych ludzi, którzy obsługiwali drukarnie w podziemiu, całe wyposażenie. Dokładnie wiedzieli, co i jak musi być. I ładowaliśmy to na ciężarówki. Pierwsza ciężarówka pojechała na Ukrainę, do Kijowa. Dla ruchu ukraińskiego, pierwszej takiej organizacji, która wygrała potem wybory. Druga drukarnia pojechała do Bułgarii dla tamtejszego ruchu demokratycznego. I cała drukarnia przez te wszystkie granice została przemycona za pomocą różnych metod. Również łapówek dla celników, ale dotarła. Ta drukarnia w Nowej Rudzie dla tej grupy polsko-czesko-niemieckiej też powstała właśnie z tych maszyn. Jedna z tych maszyn poszła tam. I pracowała dla celów Solidarności Polsko-Czesko-Słowackiej, bo to z góry żeśmy zakładali. Potem się okazało, że w innych krajach tak szybko to buchnęło, że już nie był potrzeby tego typu [wsparcia]. Jak w Rumunii, gdzie rozstrzelali Ceausescu i wszystko rąbnęło od razu. Na Węgrzech, tak samo. Więc już tam nie było takiej potrzeby. Ale tam, gdzie była, to normalnie w przemytnika się bawiłem z tą moją grupą. Choć już byłem posłem. Ale wtedy jeszcze wszystko było możliwe. I Solidarność Polsko-Czechosłowacka i „Forum" przeistoczyły się trochę w szmuglerów, chociaż to przecież były formalne organizacje. To nie było tak, że od kogoś [prywatnie], tylko formalna organizacja wysyłała pomoc. Ale tak naprawdę to wszystko było skierowane przeciwko władzom. To spotkanie w Otwocku trwało do późnej nocy. Trochę żeśmy się tam rzeczywiście, po ludzku, uwalili. Ale atmosfera była wspaniała. Mam bardzo fajne, przepiękne zdjęcia z tego spotkania. I to też pokazało przełamanie tych barier przez Solidarność Polsko-Czechosłowacką, bo to nie miało nic wspólnego z formalnymi instytucjami. To wszystko było organizowane przez ludzi. To po prostu my, ja z moimi przyjaciółmi, to organizowaliśmy. Oni zawsze odpowiadali natychmiast. Że trzeba, się spotkać, coś zorganizować, natychmiast odpowiadali. I dzięki temu tyle żeśmy tych różnych poprzełamywali barier.

22. Wyszehrad

Potem, taką [inicjatywą] o największej wadze politycznej było wymyślenie „Wyszehradu". Ja mówię, że to wymyślenie „Wyszehradu", bo to się oczywiście przypadkiem w Wyszehradzie stało. To było umówione na szczeblu politycznym. Tak naprawdę „Wyszehrad", co na szczęście jest udokumentowane, chociaż większość ludzi o tym nie wie, podpisał Jan Krzysztof Bielecki. Był tam, bo tam byli ówcześni premierzy. Natomiast sam pomysł „Wyszehradu", powstał najpierw nieformalnie. Poleciałem do Pragi z Bronkiem Geremkiem, który był wtedy przewodniczącym komisji spraw zagranicznych w Sejmie, na formalne spotkania polityczne. I najpierw spotkaliśmy się z Irką Dientsbirem w Pradze. Mieliśmy tam jeszcze inne, różne spotkania. A na końcu mieliśmy spotkanie na zamku u Waszka Havla, poszliśmy tam wyściskaliśmy się. Waszek zawsze nas zabierał do prywatnej części, dlatego, że jak

kiedyś jeszcze wcześniej z Adamem Michnikiem pojechaliśmy do niego się spotkać, to on wyszedł po nas i zabrał nas do tej dużej Sali. Tam jeszcze nic nie było zmienione od [czasu] komunistów, te bardzo dziwne siedzenia i tak dalej. Waszek mówi: „O, tutaj zobaczcie, dopiero co tam siedział Husak, nie tak dawno". A te krzesła były takie z metalowych rur. Adam pyta: „Waszku, a ty jesteś pewny, że to nie elektryczne krzesła?" On mówi: „Sprawdziłem". Ale poszliśmy do niego prywatnie. I tak samo było wtedy z Bronkiem. Poszliśmy najpierw do niego, posiedzieliśmy, pogadali. A potem na piechotę poszliśmy na obiad. Przechodziło się koło katedry i po drugiej stronie wchodziło się po schodkach do restauracji. Trzeba przejść przez całą salę restauracyjną i na końcu był taki pokoik zawsze dla Havla rezerwowany. Waszek nas prowadzi, idzie pierwszy, przed nim borowcy. Ludzie go zaczepiają, pozdrawiają prezydenta. Idziemy i nagle Waszek się zatrzymuje. Przeszedł obok jakiejś pary, która tam siedziała cofnął się i przywitał. Przedstawił nas. To był Miloš Forman, najsłynniejszy czeski reżyser. To trzeba sobie wyobrazić: prezydent obcego państwa, mnie byłego robola zapoznaje z jednym z najsłynniejszych reżyserów na świecie. Potem jeszcze Bronek powiedział, że [sprawa] miała drugie dno, bo to, że on tak przeleciał i dopiero się cofnął było uzasadnione. Oni się o coś bardzo ostro spięli i właściwie nie utrzymywali kontaktu. Tak, że ja i Bronek Geremek staliśmy się takim katalizatorem powrotu. Oni zaczęli znowu rozmawiać, kontaktować się, a nas [Havel] użył jako pretekstu, w sensie pozytywnym. To taka niesamowita historia. Natomiast siedząc tam we trzech rozmawialiśmy o tym, że trzeba by było jakoś sformalizować te nasze wspólne działania. I to właściwie ja z Waszkiem wymyśliliśmy, żeby inicjatywa była troszkę szersza, niż tylko te trzy kraje. Później nazywane [krajami Grupy] Wyszehradzkiej od miejsca spotkania. A ja z kolei miałem pomysł, który został zrealizowany, zresztą. Powiedziałem, że to, że się spotkają prezydenci jest ważne. Ale w naszej części Europy jest strasznie ważne, żeby nad budową tych porozumień pracowała jak największa ilość ludzi. Żeby się z tym utożsamiała. My na przykład moglibyśmy zaprosić po dziesięciu posłów z różnych klubów, żeby oni przesiąkli atmosferą współpracy. Bo różnie to jest. Różnie się o tej współpracy w Sejmie mówi. Szuka się pretekstów do konfliktów. Bo różnie ludzie myślą i rożne mają interesy. Waszek od razu mówi: „Świetnie, zapraszamy też parlamentarzystów". Chodziło o to, żeby ci, którzy na przykład są z okręgów wyborczych przy granicy, też brali w tym udział. Żeby przesiąkli tą atmosferą współpracy i spotkań między przyjaciółmi. Bo oni tego nie mieli. My mieliśmy. W ten właśnie sposób przygotowaliśmy pierwsze spotkanie z tego wyszehradzkiego cyklu w Bratysławie na zamku. I rzeczywiście, byli prezydenci, premierzy, ministrowie spraw zagranicznych. Byli posłowie z tych wszystkich krajów. Był prezydent Austrii i Włoch, czyli było rzeczywiście, takie szersze [forum]. I znowu oświadczenie, które na koniec miało być podpisane, ja przygotowywałem. Polegało to na tym, że ja chodziłem między różnymi politykami i pytałem ich, co w tym oświadczeniu powinno się znaleźć i nagrywałem ich wypowiedzi. Ustaliliśmy z Waszkiem, że propozycję oświadczenia przygotuje polska

strona. Miałem te wszystkie nagrania i pojechałem z nimi do Roberta Mroziewicza, kolegi z KOR-u. Robert był taki „pisaty”. On był już wtedy w MSZ, wcześniej był ambasadorem przy ONZ, potem wiceministrem obrony narodowej. To chyba Bronek wymyślił. Pojechałem z tym nagraniem do Roberta Mroziewicza, pamiętam, że pisaliśmy to w kuchni, Robert to przygotował. Ale to było już praktycznie przed naszym wyjazdem. – Z Adamem Michnikiem miałem lecieć nieformalnie do Pragi dogadać z nimi. Oni mieli potem lecieć na Węgry i uzgodniony tekst mieć już tam, na to spotkanie. Czasu było mało, więc myśmy wtedy z Robertem to przygotowywali i jakoś takim wczesnym wieczorkiem, mieliśmy to gotowe. Dałem Adamowi to, cośmy stworzyli, on zadzwonił do Skubiszewskiego, umówił się z nim i zawiózł ten tekst. Bo rano lecieliśmy do Pragi i nie było czasu przepisywać, więc Skubiszewski, ręcznie popoprawiał to oświadczenie i my z tym ręcznie przez niego poprawionym tekstem, polecieliśmy do Pragi. Na szczęście oni mieli tam [pełne] wyposażenie, zrobiłem z tego ksero. Były jeszcze uzgodnienia, ale niewiele zostało zmienione. Tak ten tekst powstał. A ja, na wszelki wypadek, zabrałem ksero i oczywiście ten tekst też jest w Ossolineum. To jest też jakby „świadek historii”, bo już nikt dzisiaj nie wie, jak to było. A było tak, że siłami społecznymi, głównie związanymi z Solidarnością Polsko-Czechosłowacką zostało to przygotowywane. Potem był tylko finał. Już po spotkaniu bratysławskim było uzgodnienie, że będzie formalne powołanie organizacji. Były i dyskusje polityczne, i jak ona ma być finansowana, ale się skończyło to podpisaniem oświadczenie, jakie mamy wartości i, do czego dążymy. A powołanie Grupy Wyszehradzkiej, z [określeniem], co mamy robić, jak będą funkcjonowały na różnych szczeblach te porozumienie wyszehradzkie, to już jest dalszy etap. Na dwudziestopięciolecie „Wyszehradu” wyszła książka wydana przez Fundusz Wyszehradzki, gdzie między innymi jest mój tekst o tym. Są tam wypowiedzi najważniejszych ludzi w Europie i taki mój, skromny, Zbyszka Janasa, tekst, ponieważ ja to przygotowywałem i niejako świadkiem byłem. Ale przygotowywałem to razem z Waszkiem, razem z jego ludźmi, moim starymi przyjaciółmi. Saša Vondra o mnie tam mówi, więc mam jakby potwierdzenie i na wszelki wypadek Bronek Geremek przysłał mi potwierdzenie. Napisał, że rzeczywiście ja to wymyśliłem z Havlem, że rzeczywiście ja to przygotowywałem. Bo mówię: „Wiesz, Bronku, potem, to już nikt nie będzie pamiętał. Wszyscy będą myśleli, że to tak po prostu albo się samo, albo jakiś premier [to wymyślił]. A to ma bardzo daleko idące polityczne konsekwencje. To, że myśmy to wymyślili, zrobili i rozpędzili”. A potem już nas nawet nie zaproszono na to podpisanie. Już inna mentalność była. Mimo, że to byli nasi koledzy, ale już nas nie zaprosili. Już nie było takie pomysłu. Tak to jest z politykami. Ale tego się nie da zaorać, ponieważ o tej mojej roli mówił minister Skubiszewski z trybuny sejmowej, mam [dokument] od Bronka Geremka, Saša Vondra, o tym mówił. A potem to jest fajna opowieść, jak tego typu instytucje, które mają tak duże znaczenie – w różnych okresach większe, lub mniejsze, ale jednak – jak one powstawały w tamtym czasie. To kulisy czegoś fajnego.

23. Trzy anegdoty

Waszek tutaj przyjechał. Tym razem w „Ateneum” [grano] jego sztukę. Był na [przedstawieniu], potem było przyjęcie u Izy Cywińskiej. I następnego dnia ambasador nas zaprosił na śniadanie. Przyjechał Mirek, Adam, Zbyszek Bujak. Przyjechał też Wałęsa. I tak żeśmy sobie tam gadali. W którymś momencie, stoimy sobie tam już po tym śniadaniu i jest rozmowa o prezydenturze. Wspominamy to właśnie, że Wałęsa zazdrościł Havlowi. Na co, Wałęsa mówi: „Co wy mówicie? Przecież ja od początku mówiłem, że ja nie chce być prezydentem”. Adam zaczął śmiać się. „A Lechu, przestań gadać, bo ja zajady mam”. Na co Zbyszek mówi: „To ja ci mam przypomnieć naszą rozmowę w samolocie, jak żeśmy do Japonii lecieli? Mam ci przypomnieć, jak powiedziałeś, że twoim największym marzeniem jest zostać prezydentem?”. Tak żeśmy się nabijali, oczywiście. Jak dzisiaj na to patrzę, to był błąd, że wtedy cała Solidarność go nie poparła. Ale kto to wtedy wiedział, jak to pójdzie? Bo nie było wtedy nikogo innego, kto mógł zostać prezydentem. To było oczywiste. Choć znając go wszyscy się trochę obawiali tego, jakim Lechu będzie prezydentem. Okazał się może nienajlepszym, ale na pewno nie niebezpiecznym w tych kwestiach, gdzie niektórzy się obawiali. To tylko tyle mogę powiedzieć. Natomiast, druga taka rzecz, to jest to, na „Forum” w Krynicy Waszek dostał tytuł „Człowieka Europy Środkowowschodniej”. Ja miałem zaszczyt wygłosić laudacje na jego cześć. Oczywiście wszystko było na ostatnią chwilę. Nie wiem, jak to się stało, ale dosłownie w ostatniej chwili Zygmunt Berdychowski do mnie zadzwonił i mówi: „Słuchaj, musisz za dwa dni wygłosić laudacje”. Ja mówię: „Dajże spokój. Przecież ja to muszę przygotować. Przecież ja jeszcze firmę prowadzę, mam robotę, jak ja to mam zrobić?”. –„Oj tam, powiedz coś od siebie”. No więc ja nic nie napisałem, wyszedłem i mówię: „Powiem to, co czuje i to co myślę. Nie powiem wam, o kim będę mówił. Ale się pewnie domyślicie”. I walnąłem taką mowę, że Waszek potem przyszedł i mówi: „Ja takiej mowy o sobie, to jeszcze nie słyszałem”. Był taki szczęśliwy, że właśnie jego stary przyjaciel tak o nim powiedział. Od serca. I to było właściwie nasze ostatnie spotkanie. Waszek już się wtedy źle czuł. Już był bardzo zmęczony. Już nigdzie nie chodził, pojechał do hotelu bardzo szybko po tej formalnej [uroczystości]. I potem już żeśmy wiedzieli, że powoli odchodzi. Rok, czy dwa lata temu na rocznicę „Aksamitnej Rewolucji”, prezydent Komorowski leciał na spotkania do Bratysławy i do Pragi. Namówiłem go, żeby zabrał ze sobą działaczy z Solidarności Polsko- Czechosłowackiej i żebyśmy wspólnie pojechali z przyjaciółmi z Czech na grób Olgi i Waszka”. On mówi: „Jezu, no oczywiście. Nikt nie wpadł na taki pomysł. Pojedziemy”. I pojechaliśmy. Był Petr Pospichal z żoną. Była Hanka Šabatová , jeszcze parę osób. Czekali na nas przy grobie. A już było ciemno, jak dojechaliśmy. Po nocy. Pojechaliśmy z prezydentem na grób. Ja nie byłem na pogrzebie. Po prostu nie dostałem zaproszenia. Tak, jak wielu przyjaciół jego z tamtych czasów, nie dostaliśmy zaproszenia. Polecieli różni ludzie, którzy nawet go

specjalnie nie znali, a dla nas już nie było miejsca. To nie jest jakiś tam żal wielki. Natomiast tak żeśmy z przyjaciółmi uzgodnili, że pojedziemy sami. I, dzięki też prezydentowi Komorowskiemu, rzeczywiście pojechaliśmy sami do niego. A ta polityka tak się zmieniła już i tak szybko ulatują te najważniejsze fakty, ludzie. Dlatego to, co dzisiaj robimy ma tak olbrzymie znaczenie, że można to wszystko zachować dla tych, którzy się będą interesowali tymi czasami. Bo to były wyjątkowe czasy, rzeczywiście. „To se ne wrati", jak mówią moi przyjaciele i warto, żeby ludzie to znali. Głównie młodzi ludzie. Bo to były fascynujące i spotkania, i historie. I miały olbrzymi wpływ na to, jak dzisiaj wygląda Europa, nie tylko Polska. Mamy prawo się odwoływać do tamtych czasów, obserwując to, co się dzieje teraz. I zacząć mówić również o tych wartościach, które nas łączyły. A tymi wartościami oczywiście były wolność człowieka, nie represjonowanie ludzi, demokracja. Ale bez przymiotników. I warto cały czas – wydaje mi się – na tych wartościach się opierać. Taka solidarność między ludźmi jest bardzo ważna.

Data i miejsce nagrania	2016-04-14, Lublin
Rozmawiał/a	Joanna Majdanik
Redakcja	Agnieszka Piasecka
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"